

RODZINA CENCICH

PERCY B. SHELLEY



# RODZINA CENCICH

TRAGEDYA

Z ANGIELSKIEGO PRZEŁOŻYL

JAN KASPROWICZ



LWÓW

NAKŁADEM TOW. WYDAWNICZEGO  
WARSZAWA — E. WENDE I SPÓŁKA  
LWÓW — H. ALTENBERG — MCMVII



49978

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA  
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



FUW0268527

POŚWIĘCAM  
PANU LEIGH HUNT'OWI.

Drogi mój przyjacielu!

Z dalekiej ziemi i po nieobecności, której miesiące wydawały mi się latami, poświęcam Panu tę mą ostatnią próbę literacką.

Pisma, dotychczas przezemnie ogłaszane, były czemś nie wiele więcej, jak tylko wizjami, uosabiającemi me pojęcia piękna i prawdy. Widzę też w nich wady literackie, będące wpływem nieopamowanej młodości; są to sny o tem, co być powinno lub co być mogło. Dramat, który obecnie Panu oddaję, to smutna rzeczywistość. Nie roszczę sobie już prawa do urzędu nauczyciela; zadowolony jestem, iż farbami, których mi własne udziela serce, minione maluję rzeczy.

Gdybym miał kogoś innego, któryby więcej posiadał przymiotów, godnych mężczyzny, aniżeli Pan, byłbym go był poprosił, aby mi wolno było dzieło to jego ozdobić nazwiskiem. Nigdy nie znał człowieka, który byłby szlachetniejszym, czcigodniejszym, niewinniejszym i dzielniejszym; człowieka, któryby miał więcej wyro-

zumienia dla czyniących lub myślących źle, a sam był tak wolnym od wszelkiego zła; człowieka, co wie, jak należy dobrodziejstwa przyjmować lub je dawać, jakkolwiek sam daleko więcej musiał dawać, aniżeli mógł przyjmować; człowieka prostszego, żyjącego życiem najczystszych, w tego słowa znaczeniu, czystszyimi i szlachetniejszymi obdarzonego obyczajami; byłem też szczęśliwy już w przyjaźniach, kiedy nazwisko pańskie wpisane zostało w ich poczet.

W cierpliwej i nieprzejednanej nieprzyjaźni z wszelką domową i polityczną tyranią fałszu, będącej zawsze celem pańskiego życia, a która powinna się była stać i moim celem, gdyby mi do tego nie zabrakło siły i talentu — w nieprzyjaźni tej krzepmy się wzajemnie, żyjmy i umierajmy.

Niech towarzyszy Panu szczęście!

Oddany panu

PERCY B. SHELLEY.

Rzym 22 maja 1819.

## PRZEDMOWA.

Podczas podróży mojej po Włoszech doręczono mi rękopis, skopiowany w pałacu Cezara w Rzymie, a zawierający szczegółowe dzieje okropności, zakończonych upadkiem jednej z najszlachetniejszych i najbogatszych rodzin tego miasta, za pontyfikatu papieża Klemensa VIII w r. 1599. Mianowicie starzec, który życie spędzał na rozpuście i występkach, nabrał ostatecznie niepomowanej nienawiści do swoich dzieci. Nienawiść ta wyrodziła się w kazirodczą namiętność ku własnej córce, obciążoną wszelką możliwą srogością i gwałtem. Po wyczerpaniu wszelkich prób, aby uchronić się od tej, według jej mniemania, ciała i duszę na wieki hańbiącej plamy, córka ta powzięła ostatecznie razem z matką i bratem plan zamordowania wspólnego tyrana. Młoda dziewczyna, pchana do tego straszliwego czynu impulsem, odbierającym mu jego okropność, była, jak dowiedziono, przełagodną i miłą istotą; stworzona, aby ją uwielbiano i podziwiano, została dzięki nieugiętym okolicznościom i opinii wyrzuconą poza obręb swej natury. Czyn rychło odkryto i mimo próśb, zanoszonych do Papieża przez najznakomitsze osobistości Rzymu, ukarano go śmiercią. W ciągu

swojego życia umiał starzec ów kilkakrotnie ułagodzić gniew papieża z powodu najokropniejszych i z naturą jaknajbardziej sprzecznych występków kosztem 100.000 koron; dlatego też śmierci jego ofiar niepodobna chyba przypisywać umiłowaniu sprawiedliwości. Między innymi powodami tego surowego wymiaru papież odczuwał prawdopodobnie, że zabicie hrabiego Cenci oznacza dla skarbu papieskiego zamknięcie pewnego i bogatego źródła dochodów\*). Historia tego rodzaju, opowiedziana w ten sposób, że czytelnik widzi wszystkie uczucia osób działających, ich nadzieje i obawy, ich ufność i niedowierzanie, ich przeróżne interesy, powikłane z sobą i oddziałujące wzajemnie namiętności i opinie, byłaby światłem, rozjaśniającem najgłębsze, najtajniejsze zakątki serca ludzkiego.

Przybywszy do Rzymu, przekonałem się, że historia Cencich, opowiadana w towarzystwie włoskiem, jaknajgłębszy, najsilniejszy wzbudzała interes i że współludźmi słuchaczy zmieniał się zawsze w romantyczną sympatyę dla krzywd i w namiętne uniewinnienie straszliwego czynu tych, których kości od dwóch wieków leżą pomieszane z prochem. Wszystkie warstwy ludności znają ogólne rysy tych dziejów i poddają się magicznemu niejako działaniu ich na serca ludzkie.

Posiadałem kopię portretu Beatryczy, malowanego przez Guida, znajdującego się w Pałacu Colonnów, a służący mój rozpoznał natychmiast w malowidle tem „La Cenci“.

\*) Dawniej rząd papieski stosował jaknajściślejsze środki, aby zapobiedz ogłaszaniu faktów, tak jawnie wykazujących jego słabość i zepsucie, tak, że do niedawnego jeszcze czasu dostanie się do rękopisów połączone było z pewnemi trudnościami.

Narodowy i powszechny ten interes, który dzieje te wzbudzają wśród wszystkich warstw ludności wielkiego miasta, gdzie wyobraźnia zawsze jest czynną i żywą, zwrócił uwagę moją przede wszystkim na to, że może stanowić przedmiot opracowania dramatycznego. I w rzeczywistości jest to tragedia, która dzięki temu, że może w wysokim stopniu podniecać i podtrzymywać współczucie, zyskiwała zawsze poklask i powodzenie.

Według mojego wyobrażenia, nie było tu nic już innego do roboty, jak tylko w taki ją dla moich ziomków ubrać język i taką akcję, któraby jak najżywiej umiała przemówić do serca. Najgłębsze i najwspanialsze kompozycje tragiczne, Król Lir, i dwa dramaty, zawierające dzieje Króla Eedypa, opierały się na podaniach, znajdujących u ludu wiarę i współczucie, nim jeszcze Szekspir i Sofokles uprzystępnili je sympatii wszystkich następnych pokoleń ludzkich.

Historia Cencich jest zaprawdę przestraszliwa i przepotworna: pokazanie jej na scenie w całej jej nagości byłoby nie do zniesienia. Ktokolwiek pragnie przedmiot ten opracować, musi to uczynić w ten sposób, ażeby podnieść okropności idealne, a obniżyć rzeczywiste, tak, aby prawda, zawarta w tych burzliwych namiętnościach i strachach, złagodziła ból rozważania zepsucia ich źródła, moralnego rozkładu. Nie należy też czynić usiłowań, aby z opracowaniem tego przedmiotu łączyć tak zwany cel moralny. Najwyższy cel moralny, zawarty w najwyższych rodzajach dramatu, polega na tem, ażeby przez wywołanie sympatii i antypatii dopomódz człowiekowi do poznania samego siebie; w miarę bowiem tego poznawania siebie staje się człowiek rozumnym, sprawiedliwym, prawym, toleranckim i łagodnym. Dogmaty, być może,

oddziałują silniej; ale dramat nie jest po to, aby wzmacniać ich siłę. Niewątpliwie, czyn jednego nie może zniesławiać drugiego; a najwłaściwszą odpłatą za krzywdy najdotkliwsze będzie zawsze łagodność i przebaczenie oraz usiłowanie, aby miłością i spokojem odwieść krzywdzącego od jego posępnych namiętności. Zemsta, odwzajemnianie się i żądza ukarania szkodliwymi są błędami. Gdyby Beatrycze myślała w ten sposób, byłaby zapewne rozumniejszą i lepszą, ale nie byłaby charakterem tragicznym. Tych kilka osób, które byłyby interesowane w tego rodzaju przedstawieniu rzeczy, nie wzbudziłyby należytego interesu dramatycznego, ponieważ nie znalazłyby współczucia w otaczających je widzach. Niespokojna i anatomizująca kazuistyka, z jaką ludzie usiłują uniewinnić Beatryczę, czując mimo to, że potrzebuje uniewinnienia; zabobonny przestrah, z jakim patrzą na jej krzywdy i jej zemstę — oto w czym się kryje dramatyczny charakter jej cierpień i jej czynu.

Starałem się przedstawić charaktery, jakimi prawdopodobnie były, usiłując przytem uniknąć błędu, aby nie działały według moich wyobrażeń o tem, co złe a co dobre, o tem co jest prawdą, a co fałszem; w ten sposób bowiem zmienilibym, pod cienką powłoką, nazwiska i osoby wieku XVI w zimne ucieleśnienia mego własnego wnętrza. Przedstawiłem ich jako katolików, i to katolików głęboko religijnych.

Pojęciom protestanckim ta ciągła i głęboka świadomość wzajemnych stosunków pomiędzy Bogiem, a ludźmi, przenikająca dzieje Cencich, wyda się może czemś nienaturalnem. Nie rozumieją one przedewszystkiem związku pomiędzy silnem przekonaniem o prawdziwości panującej religii, a zimnem, uporczywem trwaniem w najstraszliwszych zbrodniach. We Włoszech jednak nie jest religia,

jak w krajach protestanckich, płaszczem, który się ubiera w pewne tylko dni; nie jest paszportem, który noszą przy sobie i pokazują zawsze ludzie, niechcąc narażać się na sekaturę; nie jest wreszcie ponurą i gorącą żądzą wnikania w niezbadane tajemnice naszego bytu, wprawiającą jej posiadaczy w lęk i przerażenie z powodu mroków przepaści, nad którą ich sprowadziła. W duszy katolika włoskiego religia współlistnieje, że tak powiem, razem z wiarą w to, o czym wszyscy ludzie najpewniejsze mają wiadomości. Wpleciona ona jest w przędzę całej jego istoty. Jest adoracją, wiarą, poddaniem się, pokutą, ślepym podziwem — ale nie żadną regułą postępowania moralnego. Nie posiada niezbędnego związku z żadną cnotą. Najohydniejszy zbrodniarz może być bardzo religijnym i nie obrażając w niczem istniejącej wiary, może powiedzieć sobie, że jest nim na prawdę. Religia przenika całą budowę społeczeństwa i stosownie do ducha, który ją ogarnia, jest namiętnością, przekonaniem, uniewinnianiem, pociechą, lecz nigdy hamulcem pożądanym.

Sam Cenci pobudował w dziedzińcu swego pałacu kaplicę na cześć św. Tomasza i polecił odprawiać w niej msze za spokój swej duszy. To też w pierwszej scenie IV-go aktu usiłuje Lukrecya, podawszy mężowi trunek usypiający, nakłonić go do pójścia do spowiedzi, uważanej przez katolików za niezbędny środek do zbawienia duszy, i od zamiaru swego odstępować dopiero wówczas, gdy widzi, że trwanie przy tym zamiarze może Beatryczę na nowe wystawić udręczenia.

Pisząc sztukę tę, starałem się z wielką troskliwością usunąć wszystko to, co zwykle nazywamy poetycznością, i mniemam, że czytelnik nie znajdzie tu chyba żadnego oderwanego porównania

lub poszczególnego, luźnie związanego poetyckiego obrazu, opisu, chyba żeby ktoś zechciał za coś podobnego uważać opis przepaści w ustach Beatryczy, gdzie ma być zamordowany ojciec\*).

W dziele dramatycznym wyobraźnia i namiętność powinny się przenikać wzajemnie, pierwsza bowiem ma służyć jedynie do rozwoju i uwydatnienia drugiej. Wyobraźnia jest jako Bóg nieśmiertelny, który przybiera ciało celem odkupienia namiętności ludzkich. W ten sposób najbardziej oderwane i najpowszedniejsze obrazy mogą z jednakim skutkiem nadawać się do celów dramatycznych, jeżeli ich użyjemy do uzmysłowienia silnych uczuć, które, narzucając na wszystko cień wielkości, podnoszą to, co niskie, a uprzyśtępniają naszej świadomości rzeczy wzniosłe. Pod innym względem pisałem mniej troskliwie, to znaczy bez zbyt oględnego, zbyt uczonego dobierania wyrazów.

Na tym punkcie zgadzam się zupełnie z krytyką nowożytną, dowodzącą, że chcąc poruszyć wewnątrz ludzi, powszednim winiśmy posługiwać się językiem, i że studyowanie naszych wielkich poprzedników, starożytnych poetów angielskich, powinno być dla nas bodźcem, iżbyśmy się stali dla naszych czasów tem, czem oni byli dla swoich. Musi to być jednak rzeczywisty ludzki język ogółu, a nie pewnej klasy, do której przypadkowo poeta należy.

Tyle o moich usiłowaniach; nie potrzeba mnie zapewniać, że skutek jest czemś zupełnie innym, zwłaszcza u tego, który od niedawna dopiero zajął się studyowaniem literatury dramatycznej.

\*) Jedną z idei tej mowy zrodziła się pod wpływem przewziósłego ustępu w „El Purgatorio de San Patricio“ u Kalderona; jedyny plagiat, którego się w całym utworze dopuściłem świadomie.

W Rzymie starałem się poznać pamiątki tego zdarzenia, o ile dla cudzoziemca są przystępne. Portret Beatryczy w pałacu Colonnów jest dziełem sztuki, godnem podziwu; malował ją Guido Reni, gdy była w więzieniu. Malowidło to jest atoli najbardziej interesującym jako wierne odzwierciedlenie najmilszego tworu natury. Jakgdyby blade rozlało się tchnienie na jej obliczu; wydaje się, jakgdyby była smutną i przygnębioną, lecz rozpacz, wyrażoną na jej twarzy, rozjaśnia cierpliwość i łagodność. Głowa jej owinięta białą draperyą, zpod której wypływają złote włosy, opadające na szyję. Kształty jej twarzy są nadzwyczaj delikatne; brwi wyraźne i łukowate; usta mają nieustanny wyraz wyobraźni i uczucia, których nie przytłumiły cierpienia, — zdaje się, jak gdyby sama śmierć zniweczyć ich nie mogła. Czoło jej wysokie i jasne; oczy, które miały być nadzwyczaj żywe, są nabrzmiałe od łez i bez blasku, ale przedziwnie miłe i pogodne. Z całego oblicza przemawia godność i prostota, która w związku z wdziękiem i głęboką boleścią nadzwyczaj przejmujące wywiera wrażenie. Beatrycze Cenci należała, zdaje się, do tych rzadkich osobistości, w których, bez wzajemnego zwalczania się, mieszkają obok siebie energia i łagodność. Wnętrze jej było proste i głębokie. Zbrodnie i cierpienia, w których czynny brała udział, są jako maska i płaszcz, dane jej przez przypadek z chwilą, gdy weszła na deski tego świata.

Pałac Cencich wielkich jest rozmiarów; a jakkolwiek po części zmodernizowany, posiada jednak piętno ogromnego i posępnego pomnika architektury feudalnej, znajdującego się nieomal w tym samym stanie, jak za czasów, kiedy rozgrywały się w nim rzeczy, będące podłożem niniejszej tragedii. Pałac ten leży w małym

zakątku Rzymu, obok dzielnicy żydowskiej, a z górnych jego okien widać potężne ruiny góry palatyńskiej, na pół ukryte w gęstych konarach drzew. W jednej części tego pałacu znajduje się dziedzi-  
niec (zapewne ten, w którym Cenci wznosił kaplicę św. Toma-  
sza), oparty na granitowych kolumnach, ozdobiony starożytnymi  
przepięknej roboty freskami, według obyczaju starowłoskiego zbu-  
dowany z piętrzących się balkonów, wykutych w kamieniu.

Uwagę moją zwróciła przedewszystkiem jedna z bram, złożona  
z olbrzymich bloków kamiennych: z niej to prowadzi wysoki po-  
nury ganek do komnat podziemnych.

Co do zamku Petrelli nie mogłem żadnych innych zasięgnąć  
wiadomości ponad te, które znajdują się w rękopisie.



## DRAMATIS PERSONAE:

HRABIA FRANCESCO CENCI.

GIACOMO }  
BERNARDO } jego synowie.

KARDYNAŁ CAMILLO.

ORSINO, prałat.

SAVELLA, legat papieski.

OLIMPIO }  
MARZIO } bandyci.

ANDREA, sługa hrabiego.

SZLACHTA, SĘDZIOWIE, STRAŻ, SŁUDZY.

LUCREZIA, żona hrabiego, macocha jego dzieci.

BEATRICE, jego córka.

Rzecz dzieje się w przeważnej części w Rzymie;  
od czwartego aktu w Petrelli, zamku w Apeninach apulijskich.

Czas: za pontyfikatu Klemensa VIII.



## AKT PIERWSZY.

### SCENA I.

Pokój w pałacu CENCICH. Wchodzi hrabia CENCI i kardynał CAMILLO

CAMILLO. Mord ten wymazan z pamięci, jeżeli  
Jesteście gotów Jego Świątobliwość  
Obdarzyć włością — tą przy bramie Pincio.  
Wszystkiego wpływu użyłem w konklawe,  
By go w tej mierze przekonać: gdyż twierdził,  
Że kupujecie swem złotem bezkarność  
Wskróś niebezpieczną; że zbrodnie, jak wasza,  
Raz pominięte i drugi, zaiste  
Bogacą Kościół i mogą od piekieł  
Wybawić duszę grzesznika, gdy czasu  
Udzieli mu się do skruchy; lecz sława  
I korzyść Świętej Stolicy nie ścierpią,  
By ją dzień za dniem zmieniać w targowisko



Takiej ohydy, którą wam zaledwie  
Taić przed ludzi oburzonym wzrokiem.

CENCI. Już to i trzecia z mych włości — niech idziel

Niedawnom słyszał, że krewniak papieża  
Kazał to miejsce zbadać architektom:  
Pragnie zbudować willę śród mych winnic,  
Gdybym miał znowu iść w targi z wujaszkiem.  
Anim nie myślał, że ze mnie tak zadrwi...  
Zaden już świadek — żadne odtąd światło  
Nie ujrzy tego, co chciał pies ów zdradzić,  
Któremu piasek zatkał dzisiaj gardło.  
Czyn, który widział, nie większą miał wartość,  
Niż jego żywot nikczemny!... do kata!  
Mnie tu wybawiać od piekieł!... Ich dusze  
Niech czart tak zbawia od nieba! Tak, Klemens  
Będzie się modlił z miłymi krewniakami,  
By mi apostoł Piotr i wszyscy święci  
Na długie czasy zachować raczyli  
Siłę, bogactwo i dumę, ochotę  
I tęgość życia, abym spełniał czyny,  
Które im zyski przynoszą. Lecz u mnie  
Zostanie jeszcze nie jedno, — do tego  
Nie będą wiele rościć praw!

CAMILLO.

O Cenci!

Tyle, by zacie żyć wam łatwo było,  
Byście się mogli pogodzić z swem sercem,

Ze swoim Bogiem i z skrzywdzonym światem.  
O jak ohydnie waszym śnieżnym włosom  
Z krwawymi czyny rozwiązał rozpusty!  
Dzieci by dzisiaj siadły przy was kołem,  
Lecz się boicie wyczytać w ich oczach  
Wstydu i żalu, wypisanych przez was.  
Gdzie wasza żona? gdzie córka jest piękna?  
Mniemam, że wzrok jej, co wszystko zamienia  
W rozkosz i szczęście, powinien uśmierzyć  
Tego szatana w waszym sercu. Czemu  
Przed towarzystwem zamyka się wszelkiem,  
Prócz przed swym strasznym, niepojętym żalem?  
Mówcież, o hrabio! ja-ć wam dobrze życzę.  
Bliżki wam byłem w posępnej młodości,  
Śledząc jej dzikie, rozhułkane fale,  
Jak meteory śledzimy — lecz młodość  
Tak nie prysnęła; ja w mężu zuchwałstwo  
I zatwardziałość widziałem i dzisiaj  
Trzeba mi patrzeć na wiek wasz pohańbion,  
Gniecion tysiącem niezgładzonych zbrodni.  
Lecz zawszem wierzył w poprawę, w tej wierze  
Wszak wam trzykrotnie ocaliłem życie.

CENCI. Przez to zawdzięcza wam Aldobrandino

Włosz mą przy Pincio. Owoż, kardynale,  
Jedna rzecz, proszę, pomniście na przyszłość,  
A pogadamy ze sobą swobodnie,  
Człek, co wam mówił, wiecie, o mej żonie

I mojej córce, w dom mój często wchodził.  
Nazajutrz jego już się pyta żona  
I córka, czym go niewidział, jam śmiał się: ~  
Sądzę, że już go nie ujrzały więcej.

CAMILLO. Nikczemny człeku, strzeż się!

CENCI.

Was!? ~ to darmo!

Winniśmy znać się nieco lepiej. Prawda?  
Moje skłonności, które zbrodnią zowią,  
Patrząc, jak służę swym żądom i prawa  
Bronię mojego podstępem lub siłą,  
Nazbyt są jawne, abym miał się lękać,  
Gdy o nich przy was rozprawiam. Wszak z wami  
Mówię jak z własnym sumieniem i sercem;  
Przez was, twierdzicie, jam się w pół poprawił,  
Dlatego próżność dziś wam milczeć każe,  
Jeśli nie bojaźń; lub obie ~ nie wątpię.  
Wszyscy się w chuciach lubują zmysłowych,  
Wszyscy się cieszą z swej zemsty, w największy  
Zachwył zaś ludzi wprawiają tortury,  
Których nie znoszą sami: tak cierpieniem  
Bliźnich schlebiają swemu spokojowi.  
Ale nie w tem jest moja radość. Lubię  
Widok agonii, uczucie rozkoszy,  
Gdy tamta innych, ta moim udziałem.  
Nie mam wyrzutów, mało mam bojaźni,  
Które są, mniemam, hamulcem dla innych.

Ta skłonność we mnie tak się dzisiaj wzmogła,  
Że gdy zdradliwa nakreśli fantazyja  
Obraz swych życzeń ~ a tylko to tworzy,  
Na coby sarknąć mogli wam podobni ~,  
Plan ten mą strawą powszednią: odbiera  
Spokój, dopóki go nie spełnię.

CAMILLO.

Czyś ty

Nie nieszczęśliwy?

CENCI.

Nieszczęśliwy? czemu?..

Nie, jestem tylko, jak te wasze klechy  
Zwią, zatwardziałym; co za bezwstydnicy,  
By tak zohydzać przysmaki człowieka!  
Prawda, szczęśliwszym był, niż dziś, gdy siły  
Starczyło jarej, by spełniać, com zechciał;  
Kiedy od zemsty była słodsza rozkosz.  
Dziś ~ cóż tu gadać! ~ starzejem się wszyscy.  
Gdybym tu jeszcze nie miał spełnić czynu,  
Któryby grozą swą zaostrzył tępszy,  
Niż mój, apetyt, prawdziwie, ja nie wiem,  
Cobym tu zrobił! niczgom w młodości  
Nie czuł innego, prócz miodu rozkoszy.  
Lecz ~ na świętego Tomasza! ~ gdyś wyrósł  
W męża, zbyt trudno jest ci żyć zwyczajem  
Pszczoł ~ i ot, widzisz, jam się też przesycił!  
Odtąd, nim wroga zabiłem, nim jego  
Jęk usłyszałem i jęk jego dzieci,

Obce mi były rozkosze tej ziemi,  
Co mnie dziś mało zachwyca. Przyjemniej  
Patrząc mi w boleść, którą strach źle kryje,  
W suchą żrenicę, w zbladłe, drżące wargi,  
Które zdradzają, że duch tam we wnętrzu  
Roni łzy krwawsze, niż pot Chrystusowy.  
Rzadko ja ciało zabijam, gdyż ono  
Duszę, jak w kaźni, więzi w mojej mocy,  
Abym ją karmił oddechem przestachu  
Wśród cogodzinnych męczarni.

CAMILLO. Piekielny  
Duch najstraszliwszy, w obłądnie swych zbrodni,  
Do swego serca nie przemawiał nigdy  
Tak, jak wy teraz przemawiacie do mnie.  
Dziękuję Bogu, że wierzyć nie mogę,  
(Wchodzi ANDREA).

ANDREA. Ze Salamanki, Panie, jakiś szlachcic  
Chce mówić z wami.

CENCI. Powiedz, by zaczął  
W wielkim salonie.  
(ANDREA wychodzi).

CAMILLO. Zegnaj! Będę błagał  
Wszechmogącego, by dla bluźnierstw twoich  
Duch jego całkiem nie opuścił ciebie.  
(CAMILLO wychodzi).

CENCI. Trzecia z mych włości!... Trzeba zamknąć kiesę,  
Inaczej złoto, ten miecz w ręku starca,  
Wypadnie z bladej mi dłoni. Wszak wczoraj  
Przysłał mi papież rozkaz, bym poczwórne  
Wypłacał pensye mym wyrodnym synom.  
Do Salamanki wysłałem ich z Rzymu,  
Mysząc, że jaki przypadek ich zmiecie,  
Albo, że tam ich zagłodzę, gdy zechcę.  
Błagam cię, Boże! Ześlij śmierć im rychłą!  
Żonie z Bernardem nie będzie smac gorzej  
Nawet w mogile i w piekle. Beatryks —  
(Oglądając się podejrzliwie wokoło).

Sądzę, że nikt mnie nie słucha pod drzwiami.  
Cóż?... niechaj słucha!... Jednak milczeć lepiej,  
Choć serce samo raduje się głośno.  
O nie usłyszysz, ty nieme powietrze,  
Co ja zamierzam! posadzko, po której  
Do jej komory pospieszę, twe echo  
Niech zdradzi kroki me dumne, gardzące  
Niespodziankami, lecz niechaj nie zdradzi  
Mego zamiaru. Hej! Andrea!

ANDREA. Panie!

CENCI. W swoim pokoju niech czeka Beatryks  
Na mnie, wieczorem — nie, północą; sama.

## SCENA II.

Ogród w pałacu CENCICH. Wchodzą BEATRICE i ORSINO, rozmawiając z sobą.

BEATRICE. Nie przekręcajcie tak prawdy, Orsino!

Czy pamiętacie, gdzieśmy tę rozmowę  
Toczyli z sobą? Patrzajcie, to miejsce  
Pod tym cyprysem. Dwa lata minęły,  
Gdym w północ kwietnia, pośród palatyńskich  
Gruzów, oblanych miesiącem, przed wami  
Mojego serca otworzyła tajnie.

ORSINO. Powiedzieliście, że mnie miłujecie.

BEATRICE. Jesteście księdzem, więc mi o miłości  
Dzisiaj nie mówcie.

ORSINO.                   Wszakże od papieża  
Mogę, gdy zechcę, otrzymać dyspensę...  
Że jestem księdzem, sądzicie-ż, iż za mną,  
Jak za zranioną myśliwiec zwierzyną,  
Nie biegnie obraz wasz, czy śpię, czy czuwam?

BEATRICE. Jak wam mówiłam, milczcie o miłości.  
Choćby wam dano dyspensę, ja nie mam...  
I nie opuszczę tej siedziby nieszczęść,

Pokąd Bernardo i ta zacna pani,  
Której zawdzięczam me życie i cnotę,  
Będą znosili, co i ja uniosę.  
Ach! wszystka miłość, którą czułam ongi  
Ku wam, Orsino, zmieniała się w boleść.  
Wyście nasz związek młodzieńczy stargali,  
Przyjmując śluby, których z was już żaden  
Nie zdejmie papież. I dziś ja was Kocham  
Miłością świętą — siostry lub anioła  
I tylko zimną poprzysięgam wierność...  
Może i dobrze, że się nie poślubim:  
Chytrą wy macie i dwulicą duszę,  
Która mnie rani. Ach ja nieszczęśliwa!  
Dokąd się zwrócę? Wszak i wy dziś na mnie  
Nie jak przyjaciel patrzycie; snąc wiedząc,  
Że tak was sądzę, fałszywym uśmiechem  
Chcecie mi dowieść, że me podejrzenia  
Wielce was skrzywdzą! Przebacźcie! Ma troska  
Twardszą mnie czyni, niż jestem z natury.  
Patrzcie, posępnych dźwigam ciężar myśli,  
A te zwiastują — lecz cóż więcej mogą  
One zwiastować nad to, co już znoszą!

ORSINO. Wszystko się zmieni. Prośba czy gotowa?  
O Beatrice nadobna! Mój zapał  
Dla waszych życzeń wy znacie; wierząc  
Ze najgorętszych nie oszczędzę starań,  
By waszej skargi papież chciał wysłuchać.

BEATRICE. Znam ja wasz zapał... biadał... wyście zimny!...

Wasze zabiegil.. Mówcież chociaż słowol...

Ach!... (siada). Mnie nieszczęsnej, opuszczonej, słabej

Z jedynym tak się waśnić przyjacielem!

(Do ORSINA).

Ojciec tej nocy świetną sprawia ucztę,

Orsino; dostał szczęśliwą nowinę

Ze Salamanki o moich tam braciach

I tym zewnętrznym pozorem miłości

Okrywa zawiść wewnętrzną. Nikczemna

To jest obłuda, gdyż wolałby święcić

Śmierć ich, o którą błagał na kolanach.

O wielki Boże! i ten moim ojcem!...

Lecz urządzone już wszystko wspaniale.

I cała Cencich będzie tu rodzina

I wszystka Rzymu znakomita szlachta.

Przytem rozkazał mnie i bladej matce,

By się przystroić w najpyszniejsze suknie.

Biedna kobieta! Szczęśliwszej stąd zmiany

W jego posępnym spodziewa się ducha;

Lecz ja — niczego. Przy stole wam wręczę

Prośbę; aż dotąd — żegnajcie.

ORSINO.

Zegnajcie.

(BEATRICE odchodzi).

Znam ja papieża; wiem, że mnie nie zwolni

Z kapłańskich ślubów, nie zwalnając przytem

Z różnych dochodów. A więc, Beatrice,

Za tańszą cenę myślę posiąść ciebie.

Nie będzie czytał jej wymownej prośby:

Mógłby ją oddać któremu z swych chudych

Szóstego rzędu krewniaków, jak niegdys

Zrobił z jej siostrą, mnie zaś wstęp zagrozić.

W tem zaś, co cierpieć ma ze strony ojca,

Zbyt wiele, sędzę, mieści się przesady.

Starość jest zrzędną, chce iść własną drogą.

Gdy człek zabije wroga, albo sługę,

Gdy się upije winem i kobietą,

Wróci podrażnion do pustego domu,

By się posprzeczać ze żoną i dziećmi,

Już to tyranią zwie córka i matka.

Zadowolonym będę, gdy sumienia

Nic mi już więcej nad to nie obciąży,

Co jej zgotują plany mej miłości —

Nawiążę siatkę, z której mi nie umknie.

Jednak mnie trwoży jej duch przenikliwy,

Jej wzrok poważny, co mi nerw za nerwem

Rozkłada swoim promieniem i wnętrze

Moje odsłania i sprawia, że wstydem

Pałą mnie myśli skryte! Nję! to dziewczę

Osamotnione mnie się dzisiaj czepia

Jako ostatniej nadziei. — Tak, głupcem

Byłbym i tchórzem, większym od pantery,

Którą przeraża antylopy oko,

Gdyby mi uszła...

### SCENA III.

Wspaniała sala w pałacu CENCICH. Wchodzą: CENCI, LUCREZIA, BEATRICE, ORSINO, CAMILLO, SZLACHTA.

CENCI                                 Witajcie, druhowie  
I moi krewni; witajcie, księżęta,  
Kardynałowie, podpory Kościoła,  
Których obecność zaszczyca mą ucztę!  
Za długo żyłem by pustelnik jaki  
I od waszego zdała towarzystwa  
Niejedno złe mi z ust wybiegło słowo;  
Lecz mam nadzieję, że wy, przyjaciele,  
Dzisiejszą ucztę podzieliwszy ze mną  
I jej pobożną poznawszy przyczynę,  
Jedno i drugie wychyliwszy zdrowie,  
Chcecie uwierzyć, żem ze krwi i kości,  
Tak, jak i inni; tylko grzeszny jestem —  
Toć od Adama my wszyscy grzeszymy —  
Lecz czuły jestem, łagodny, litośny.

PIERWSZY GOŚĆ. Zaprawdę, panie, zbyt się wydajecie  
Wesołym, żywym, nazbyt towarzyskim,  
Aby to robić, co wam świat zarzuca.

(Do swego sąsiada):

Nigdy tak jawnej nie widział rozkoszy  
W oku.

DRUGI GOŚĆ. Wypadek nader pożądanym,  
Którego rozkosz chcemy wszyscy dzielić,  
Przywiódł nas tutaj; opowiesz nam, hrabio!

CENCI. Tak jest, wypadek nader pożądanym,  
Bo jeśli ojciec z ojcowskiego serca  
Wznosi z tej ziemi do Ojca nas wszystkich  
Modły — wieczorem, gdy do snu się kładzie,  
Nocą, śniąc o tem, i rano, gdy wstaje —  
Błagalną prośbę, pragnienie, nadzieję,  
Aby wypełnił to jedno żądanie  
Dla synów jego, o które go błaga,  
Naraz, najdroższe przechodząc nadzieje,  
Wszystko się ziszcza — czyż nie ma się cieszyć,  
Wołać przyjaciół i krewnych na ucztę,  
By ich miłością okrasić swą radość —?  
Zróbcie mi zaszczyt ten, bo — ja tym ojcem!

BEATRICE (do Lukrecyi).

O wielki Boże! zgroza, co za straszne  
Musiało braci nawiedzić nieszczęście!

LUCREZIA. Nie bój się, dziecię, mówi zbyt otwarcie.

BEATRICE. Ach! krew mi krzepnie! trwoży mnie ten uśmiech,  
Co mu się wiję naokoło oczu  
I czoło marszczy aż po same włosy.

CENCI. Oto tu macie list ze Salamanki.

Przeczytaj matce, Beatrice! Boże,  
Dzięki ci! w jednej ziściłeś mi nocy  
Niedoścignionym wyrokiem, com pragnął.  
Me nieposłuszne, buntownicze syny  
Nie żyją! — Tak, tak, nie żyją! — Dlaczego  
Ta nagła zmiana na twarzach? Wy pewnie  
Mnie nie słyszycie? Mówię wam, nie żyją!  
Nie potrzebują ni strawy, ni sukni;  
Świece, co w czarnej świeciły im drodze,  
To koszt ostatni. Mniemam, że nie zechce  
Papież, bym o nich starał się w ich trumnach.  
Cieszcie się ze mną — serce mi się śmieje!

(LUCREZIA pada wpół zemdłała. BEATRICE ją podnosi)

BEATRICE. To jest nieprawda! Droga pani; prawdą  
Gdyby to było — jeszcze Bóg jest w niebie —,  
Nie chęłpiłby się z takiego podarku.  
Potworny człekul! Ty wiesz, że to fałszem!

CENCI. Nie, jak Bóg miły. Boga tu dziś wzywam,  
Ażebym świadczył, że prawdę wam mówię.  
Jego opatrność przejawia się nawet  
W rodzaju śmierci. Posłuchajcie: Rokko  
Kłęczał był na mszy z szesnastu innymi,  
W tem strop się wali, gniotąc go na miazgę,  
Inni zaś uszli cało. Krystofana  
Tej samej chwili i tej samej nocy

Z pomyłki jakiś zabija zazdrośnik,  
Którego luba leżała z rywalem...  
Snać niebo o mnie szczególnie troskliwe.  
Proszę was, drodzy, jeśli mnie kochacie,  
Podkreście dzień ten w waszym kalendarzu:  
Był to dwudziesty i siódmy dzień grudnia;  
Czytajcie list ten, jeśli nie wierzycie.

(Zgromadzeni się niepokoją, kilku gości wstaje).

PIERWSZY GOŚĆ. Strasznie! odchodzę!

DRUGI GOŚĆ.

I ja!

TRZECI GOŚĆ.

Nie, zostańcie.

Sądzę, że żart to; chociaż to naprawdę  
Trochę za bardzo uroczyście żarty.  
Syn jego, mniemam, zaślubił infantkę  
Lub minę złota odkrył w El-Dorado.  
Okraścić chciał nam nowinę. Zostańcie!  
Zostańcie! żarty widzę w tym uśmiechu.

CENCI (napełniwszy kielich winem i podnosząc go).  
Szlachetny trunku! twój blask purpurowy  
Drga tak i kipi w złocistym kielichu  
Przy ogniu świec tych, jak mój duch we wnętrzu,  
Słyszając o śmierci mych przeklętych synów!  
Gdyby mi wierzyć, żeś ty krwią ich własną,  
Jak przenaświęwszy piłbym cię sakrament,



A piłbym w ręce piekielnego władcy,  
Co, jeśli ojca przekleństwo, jak mówią,  
Na hyżych skrzydłach ściga dusze dzieci  
I od niebieskich odrywa je tronów,  
Własny swój tryumf widzi w mym tryumfie.  
Lecz tyś zbyt cieżkim; kroplami rozkoszy  
Jam się odurzył i dzisiejszej nocy  
Innego wina nie piję. Andrea!  
Podaj ten pułgar wokoło.

JEDEN Z GOŚCI (podnosząc się). Nikczemny!  
Czyż żaden z tego szlachetnego grona  
Nie opamięta zbrodniarza?

CAMILLO. Na Boga!  
Każę się rozejść gościom! Oszalałeś!  
Zło na cię spadnie.

DRUGI GOŚĆ. Schwycicie go, uśmierzcie!

PIERWSZY GOŚĆ. Schwycę!

DRUGI GOŚĆ. Ja także!

CENCI (obracając się do tych, którzy mu grożą). Kto się tutaj rusza?  
Kto mówi? Nic to! Cieszcicie się i mojej  
Strzeżcie się zemsty! Albowiem ma zemsta

To ukaz króla tajemny: zabija,  
A nikt się pytać nie śmie o zabójcę.

(Przerywa się uczta, kilku gości odchodzi.)

BEATRICE. Szlachetni goście! proszę was, nie chodźcie.  
Iżę tyranii i zawistnej zbrodni  
Bronią ojcowskie, posiwiałe włosy, —  
Ze ten, co w sobie nasze życie chował,  
Dziś nas katuje i cieszy się z tego; —  
Ze my, umarłe, opuszczone dzisiaj,  
Z krwi jego własnej — my, dzieci, i żona,  
Które on kochać i bronić powinien —  
Więc nam nie znaleźć żadnego przytułku  
Na tym bezbrzeżnym, bezlitośnym świecie?  
Ach! co za krzywda, pomnijcie, musiała  
Zatrzeć wprzód miłość, a potem szacunek  
W dziecięcym sercu, że dziś już przemogło  
I wstyd i bojaźń! Ach! wielem znosiła,  
Całując rękę, co gniotła ku ziemi,  
W policzku widząc upomnienie ojca.  
Uniewinniałam, wątpiałam, a kiedy  
I wątpiwości nie stało, miłością  
I cierpliwością i łzami złagodzić  
Chciałam gniew jego. Gdy i to napróżno,  
Jam wśród bezsennych klękiwała nocy,  
Wznosząc do Boga, tego ojca wszystkich,  
Gorące modły; gdy i On nie słuchał,  
Znosiłam cicho — aż was tu spotykam,

Książęta, krewni, przy tej smutnej uczcie  
Za śmierć mych braci. Dwóch jeszcze zostało,  
Została żona i ja — nie zbawicie  
Wy nas, to znowu złączy was biesiada,  
Jaką ojcowie nad grobem swych dzieci  
Sprawiają! Książę Colonna, tyś naszym  
Blizkim jest krewnym, a ty, kardynale,  
Papieżkim jesteś podkomorzym, ty zaś  
Najwyższym sędzią, Camillo! zabierzcie —  
Precz nas zabierzcie!

(CENCI zajęty był rozmową z kardynałem CAMILLO podczas pierwszej części przemówienia BEATRYCZY; słyszy ostatnie wyrazy i podchodzi naprzód).

CENCI. Sądzę, moi drodzy,  
Że pewno lepiej dbać o własne córki —  
Może i gardła —, niż zważać na słowa  
Szalonej dziewczki.

BEATRICE (nie zważając na słowa ojca). Nikt się nie odważy  
Spojrzeć tu na mnie? Nikt mi nie odpowie?  
Czy jeden tyran ośmiadł sercami  
Tylu szlachetnych i rozważnych mężów?  
Lub może błagam w formie, niezupełnie  
Zgodnej z przepisem, i prośba daremną?  
O Boże! czemuż nie umarłam z braćmi?  
Czemuż mi kwiaty tej ledwie minionej  
Wiosny nie więdną na grobie i ojciec  
Przecz nie obchodzi stypy po nas wszystkich!

CAMILLO. Gorzkie życzenia w tak młodej i pięknej!  
Nam nic nie zdołać?

COLONNA. Nic a nic, ja widzę.  
Zbyt krwawym byłby dla nas Cenci wrogiem.  
Przecież pomogę każdemu.

KARDYNAŁ. Ja także.

CENCI. Precz do komory, bezwstydną dziewczyno!

BEATRICE. Precz ty, zbrodniarzu! Tak, ukryj się, ukryj,  
By cię już żadne nie ujrzało oko!  
Ty posłuszeństwa i czci naszej żądasz,  
By nas katować? Ojcie, nie sądz nigdy,  
Że choćbyś zdołał ośmiadnąć tem gronem,  
Zło zła nie zrodzi. — Nie patrz tak ponuro!  
Ukryj się, ukryj, by cię z gniazda twego  
Nie wypłoszyły karzącą żrenicą  
Duchy mych braci. Ukryj twarz przed każdym  
Żyjącym okiem i drżij, skoro ludzkie  
Posłyszysz kroki. Ciemnego poszukaj  
I spokojnego zakątka; tam siwą  
Przed obrażonym zegnij głowę Bogiem,  
A my uklękniem wokoło, błagając,  
By się zlitował nad nami i tobą.

CENCI. Zal mi jest, drodzy, że ta wściekła dziewczka

Tak nam wesołą zaprawiła ucztę.  
Bywajcie zdrowi! niechciałbym już dłużej  
Widzieć w was świadków domowego swaru.  
Za innym razem —

(Odchodzą wszyscy, prócz HRABIEGO i BEATRYCZY.

W mózgu mi się kręci —

(Do ANDREA) Podaj mi wina.

(Do BEATRYCZY) Ty błyszcząca żmijol!

Ty bestyol piękna, a taka straszliwa!

O znam ja czary, co cię wnet uśmierzą —

Lecz teraz precz mi z obliczał

(BEATRICE odchodzi).

Andrea!

Podaj mi kielich greckiego. Mówiłem,

Że pić ten wieczór nie będę, lecz muszę.

Rzecz dziwna, czuję, że mnie duch opuszcza,

Gdy wspomnę o tem, co myślę wypełnić. (Pijąc wino)

Bądź ty ognistym zapałem młodzieńca

W tych moich żyłach; bądź odwagą męża

I starca zimną, wytartą podłością!

Gdybyś ty było tą krwią moich dzieci,

Której tak pragnę. Czar ten dobrze działa...

To stać się musi! stanie się! przysięgam!



## AKT DRUGI.

### SCENA I.

Pokój w pałacu CENCICH. — Wchodzą LUCREZIA i BERNARDO.

LUCREZIA. Nie płacz, mój chłopcze, wszak on mnie bił tylko,  
Com cięższą zniosła już krzywdę. Prawdziwie,  
Zabiwszy, większą wyświadczyłby łaskę.  
Wszechmocny Boże! zechciej spojrzeć na nas!  
Innych nie mamy przyjaciół, prócz Ciebie!  
Nie płacz! Choć kocham cię jak swego syna,  
Nie jestem prawą twą matką.

BERNARDO. Czems więcej,  
Niżeli matka rodzonemu dziecku,  
Byłaś ty dla mnie! Gdyby on mym ojcem  
Nie był, czyż sądzisz, żebym płakał dzisiaj?

LUCREZIA. A cóż innego byś czynił, mój biedny?  
(Wchodzi BEATRICE).

BEATRICE (z niepokojem). Tą on szedł drogą? widziałeś go, bracie?

Ach, nie! na schodach słyhać jego kroki —  
Coraz jest bliżej, już chwyta za klamkę.  
Matko! jeżeliś tobie kiedy była  
Posłusznym dzieckiem, ratuj mnie! o Boże!  
Wszak twym obrazem na ziemi jest ojciec,  
Czyż mnie naprawdę opuszczasz? Nadchodzi —  
Już drzwi otwiera — już widzę twarz jego,  
Gniew ma dla innych, do mnie się uśmiecha,  
Jak przeszłej nocy uczynił po uczcie...

(Wchodzi ŚLUGA).

Wszchemocny Boże! jakiś ty litośny!  
To tylko sługa Orsinal... Ty — poco?

ŚLUGA. Pan mój wam każe powiedzieć, że prośbę  
Odesłał ojciec święty nieotwartą — (Podaje papier).  
Przytem się pyta, kiedyby swobodnie  
Mógł was odwiedzić.

LUCREZIA. Na Zdrowaś Marya.

(ŚLUGA odchodzi).

Tak, córko, znikła ostatnia nadzieja.  
Biada mi! biada! Ty bledniesz! Tyś drżąca!  
W strasznej się, córko, pogrążasz zadumie,  
Jakgdyby jedna myśl przygniotła ciebie;  
Lodowo błyszczą tve oczy! O, dziecię,  
Czyś obłąkana? jeśli nie, to przemów.

BEATRICE. Nie obłąkanam, widzisz — mówię z tobą.

LUCREZIA. Wspomniałaś o czemś, co ojciec uczynił

Po owej uczcie okropnej. Czyż mogło  
Być co gorszego nad to, kiedy śmiał się  
I wołał: Moi synowie nie żyją!?  
I kiedy każdy patrzył w twarz sąsiada,  
Czy tak jest bladą, jak twarz jego własna?  
Gdy pierwsze słowo wymówił, uczułam,  
Jak krew do serca mi bije, jak wszystek  
Zmysł mnie opuszcza. Gdy przeszło, znękana  
I przerażona widziałam cię obok,  
Mężnem karzącą słowem jego bezwstyd —  
I drżał ten szatan, co się w nim zagnieździł.  
Tak więc aż dotąd stałaś między nami,  
A między ojca zapalonym gniewem,  
Jak opiekuńcza opatrność. Ucieczką  
I bronią dla nas był twój duch żelazny;  
Cóż dziś go zgięło? Cóż dzisiaj ci dało  
To lodowate, bolesne spojrzenie?  
I skąd dziś tobie ta niezwykła bojaźń?

BEATRICE. Co mówisz, matko? Ja właśnie myślałam,

Czyby nie lepiej zaprzestać już walki.  
Byli mężowie, jak ojciec, straszliwi,  
Krwawi, lecz nigdy... zanim ma być gorzej,  
Rozsądniej umrzeć, w śmierci tylko koniec.

LUCREZIA. O, nie tak, dziecko. Opowiedz mi tylko,  
Co ci uczynił lub co mówił ojciec.

Wszakże nie został po nieszczęsnej uczcie  
W twoim pokoju ni chwili. Opowiedz.

BERNARDO. O siostró, siostró, proszę cię, opowiedz.

BEATRICE (powoli — z wymuszonym spokojem).

Było to tylko słowo — jedno słowo,  
Jedno spojrzenie, jeden uśmiech, matko. (Gwałtownie)  
Nieraz mnie deptał, aż mi krew tryskała  
Z wybladłej twarzy; kałużą nas poił  
I mięso dawał cuchnące z bawołów  
I jeść nam kazał albo umrzeć z głodu,  
I myśmy jedli: I patrzeć nam kazał,  
Jak w wątle ciało drogiego Bernarda  
Wżerała rdza się ciężkiego łańcucha —  
Nie rozpaczałam jednakże... Lecz teraz!...  
Cóż chciałam mówić? (Przychodząc do siebie).

Ach, nic, nic nowego...

Wzburza mnie boleść, którą wszyscy znosim.  
On mnie bił tylko i klął mnie, przechodząc:  
Nie rzekł nic więcej, nie śmiał się inaczej  
I nic nie zrobił nad to, co zwykł czynić —  
I to mnie dzisiaj rozdrażnia. O biada!  
Wszak zapominam swoich obowiązków.  
Dla was powinnam zachować swe zmysły.

LUCREZIA. Tak, Beatrice! Odwagi, me dziewczę.  
Prędzej mnie dzisiaj rozpaczać, niż innym;

Jam go kochała; dziś mi żyć z nim trzeba,  
Aż Bóg litośny weźmie mnie lub jego.  
Ty sobie znajdziesz, jak twa siostra, męża  
I patrzeć będziesz po latach z uśmiechem  
Na dzieci wkoło twych kolan, a o mnie  
I o tych ciosach straszliwych, gdy umrę,  
Będziesz wspominać, jak o śnie minionym.

BEATRICE. Nie, droga pani! nie mów mi o mężu.

Któż mnie wychował, gdy matka umarła?  
I któż mnie bronił? i to dziecko drogie?  
Mieliśmy-ż innych przyjaciół, prócz ciebie,  
W naszej młodości? Któż słowem, spojrzeniem  
Łagodził ojca, gdy nas chciał zabijać?  
I mnie opuszczać dziś ciebie? Niech raczej  
Duch zmarłej matki oskarży mą duszę,  
Niżeli rzucę tę, co dziś w jej miejscu  
Dała mi więcej, niżli miłość matki.

BERNARDO. I ja to myślę, co siostra. Prawdziwie,  
Nie rzuciłbym cię i wówczas w tej doli,  
Gdyby mi papież kazał żyć w wesołem  
Miejscu, jak innym w mym wieku, wśród zabaw,  
O białym chlebie i w zdrowym powietrzu —  
O, nie myśl nigdy, że cię rzucę, matko.

LUCREZIA. Drogie me dzieci!

Niespodziewanie wchodzi CENCI.

CENCI.

Co? Beatrice tutaj?

Chodź tu! O, nie kryj tej twarzy, jest piękną.  
Spojrzyj! Tak, nocy wczorajszej ty śmiałaś  
Z bezczelną na mnie patrzeć zuchwałością  
I brwią ściągniętą i zmarszczonem czołem  
Pytać się o me zamiary. Jam pragnął  
Skryć, czego żądam od ciebie — daremnie.

BEATRICE (nawpół omdlała zwraca się ku drzwiom).

Rozstąp się, ziemiol! o ukryj mnie, Boże!

CENCI. Niepewne wtedy płynęły mi słowa

Z ust i chwiejącym jam uciekał krokiem  
Przed twem obliczem, jak ty dziś przed mojem.  
Stój, ja ci każe! Od dzisiejszej chwili  
Nie będziesz ty już zuchwałą żrenicą  
I brwią wyniosłą i licem spokojnem  
I temi wargi, co są, aby pieścić  
Albo się gniewem rozpalać — nie będziesz,  
Sądzę, oniemiać najniższego z ludzi;  
Mnie najmniej... Teraz do swojej komory,  
I ty, (do Bernarda) obrazie wstrętny twej przeklętej  
Matki! to młeczne twe liczko przyprawia  
Mnie o chorobę — tak go nienawidzę!

(Wychodzą BEATRICE i BERNARDO).

(Na stronie) Tyle już zaszło między nami — tyle,  
Ze mnie dodaje męztwa, ją zaś w bojażń  
Wprawia. Rzecz straszna, dotykać się grozy,

Jaką ja w własnej wymyśliłem duszy:

Tak ludzie siedzą nad zdroju krawędzią  
I drżą, dotknąwszy stopą zimnej wody —  
Wejdz w nią, jak serce śmieje się z radości!

LUCREZIA. O mężu, proszę, przebac Beatryczy —  
Wszak nie myślała nic złego.

CENCI.

I ty nic?

Ani ten bękart, coś go z abecadłem  
Uczyła ojcobójstwa? Ni Giacomo?  
Ni dwaj synowie wyrodni, co na mnie  
Taką ściągnęli nieprzyjaźń papieża,  
A Bóg liतोśny zmiotł ich w jednej nocy?  
Nic nie myśleli, niewinne jagnięta!  
Może i wy się nie zmówili tutaj,  
By mnie uwięzić jako obłąkańca  
Lub oddać katu za zbrodnię jakowąś,  
O której świadczyć pragniecie wy sami? —  
Gdyby to nieszło, jakżeż sprawiedliwem  
Byłoby nając zabójców, lub naraz  
Domieszać jadu w mój trunek wieczorny,  
Albo zadusić, gdy mnie wino zmoże?  
Że innych sędziów nie ma, oprócz Boga,  
Że on mnie skazał, i że wy jedyni  
Winniście spełnić na mnie te wyroki,  
Które on w swoich zapisał niebiosach?  
O, nie!... Czy wyście nie mówili tego?

LUCREZIA. O, tak mi Boże dopomóż, że nigdy  
Tego nie myślę, co na karb mój kładziesz.

CENCI. Odważ się jeszcze powtórzyć to kłamstwo,  
A zamorduję! Czyż nie za twą radą  
Wczorajszą ucztę zakłóciła córka?  
Czyż nie pragnęłaś, powiedz, kilku wrogów  
Przeciw mnie podszczuć, uciec i urągać  
Temu, co dziś ci każdym wstrząsa nerwem?  
Przeceniasz ludzką odwagę: nie wielu  
Między mną stanie, a swym własnym grobem.

LUCREZIA. Nie patrz tak strasznie! Na zbawienie duszy!  
Jam Beatryczy nie znała zamiarów,  
Ani też sądzę, miała jaki zamiar,  
Nim jąłeś mówić o jej zmarłych braciach.

CENCI. Błuzniercze kłamstwo! Bóg cię piekłem skarże —  
A ja zawiodę tam, gdzie błagać będziesz  
Tych zimnych głazów, których stopą dotkniesz,  
By cię zbawiły — gdyż ludzi tam innych  
Niema, prócz takich, co nie drżą przed niczem  
I, nie pytając, spełniają mój rozkaz.  
Na przyszłą środę wyruszę. Znasz pewno  
Dziki kamieniec, znasz zamek Petrellę.  
Więzienne lochy i warowne turmy  
Nie wygadały niczego, choć widzem  
O i słuchaczem były takich rzeczy,

Na które skały przemówić gotowe.  
Czemu się wahasz? spiesz się! gotuj w drogę.

(LUCREZIA wychodzi).

Wszechwidne słońce jeszcze świeci. Słyszę  
Głośnie pogwary ludzi po ulicach;  
Błękit niebieski zagłada mi w okna:  
Dzień to wesoły, śmiały i ciekawy,  
Głośny, rażący, podejrzliwy, oczu  
I uszu pełen. W każdy kącik, w każdą  
Wciska się szparę bezwstydnym blask światła.  
Zbliź się, ciemności! Lecz cóż dzień mi szkodzi?  
I czemuż miałbym ja tęsknić za nocą,  
Ja, co czyn spełnię, na który zarówno  
Dzień i noc zadrzą? Niech ona się wije  
Śród mgły niepewnej — ze zgrozy! Jeżeli  
Jest już na niebie to słońce, nie jej to  
Ku jego blaskom spoglądać i nie jej  
Czuć jego ciepło. Jej za nocą tęsknić!  
Czyn, który spełnić zamierzam, wnet wszystko  
Dla mnie przygasi. Ciemniejsze, straszliwsze  
Stworzę ja mroki, niżli cienie ziemi,  
Niżeli niebo na nowiu, niż zachód  
Gwiazd, które gasną w najczarniejszej chmurze.  
Śród nich to spieszę, pewien i niewidzian,  
Do swego czynu. Oby był już spełnion.

## SCENA II.

Pokój w WATYKANIE.

Wchodzą kardynał CAMILLO i GIACOMO, zajęci rozmową.

CAMILLO. Jest przestarzałe i wątpliwe prawo,  
Co wam niezbędne zapewnia potrzeby  
Względem odzieży i stawy.

GIACOMO. Nic więcej?  
Jak nędznym chleb ten, który mi przyznaje  
Prawo, bogacąc brudne skąpstwo starca.  
Czemuż mnie ojciec nie kazał wyuczyć  
Jakiegokolwiek rzemiosła? Wszak wówczas  
Nie byłbym przywykł do potrzeb niezwykłych,  
Którym dziś własną niedogodzę pracą.  
Tak, syn najstarszy wielkiego magnata  
Jest jego wszystkich słabości dziedzicem —  
Wielkie potrzeby przy zbyt małych środkach.  
Cóż, kardynale, gdyby wam tak naraz  
Zamiast puchowych kołdr i miękkiej stawy  
Stu służebników i sześciu pałaców,  
Przyszło się tylko ograniczyć na tem,  
Co za niezbędne uważa natura?

CAMILLO. Tak, słuszna skarga, byłoby to przykrem.

GIACOMO. I najsilniejszy mąż nie zniesie tego!

Lecz ja mam żonę wysokiego rodu;  
Posag jej dałem w nieszczęśliwą chwilę  
Ojcu, bez świadków, bez poręki żadnej...  
Mam dzieci, które szlachetną jej duszę  
Odziedziczyły — najmiłsze istoty  
Na żywym świecie; i żadne mi tego  
Dziś nie wyrzucą. Kardynale, papież  
Czyżby nie wkroczył w tą sprawę i woli  
Swej nie postawił ponad prawo stare?

CAMILLO. Choć położenie wasze nazbyt twarde,  
Wątpię, czy papież drogę prawa zmieni.  
Po strasznej uczcie tej ubiegłej nocy  
Chciałem go nagiąć, ażeby powstrzymał  
Waszego ojca krwawą dłoń. On gniewnie  
Odrzekł mi na to: „krnąbrnemi są dzieci  
I aż do szaleństw i rozpaczy kłują  
Ojcowskie serca, długoletnią troskę  
Wynagradzając im hańbą — niestety!  
Mnie hrabia Cenci budzi litość w sercu;  
Zraniona miłość zrodziła w nim zawiść  
I do haniebnych popycha go czynów.  
W boju pomiędzy starcem a młodymi,  
Ja, co włos siwy i drżące mam kości,  
Pragnę zachować przynajmniej bezstronność.  
Wszak słyszeliście te słowa, Orsino? (Wchodzi Orsino).

ORSINO. Jakież to słowa?



GIACOMO.

O nie powtarzajcie!

Dla mnie tu żadnej niema już pomocy —  
Chyba że pomoc sobie sam zgotuję,  
Do ostatecznej doprowadzon chwili.  
Lecz moja siostra i mój brat jedyny  
Więdną niewinnie pod ojca oczami.  
Wszak osławieni kaci tego kraju,  
Galaz Visconti, Borgia i Ezzelin,  
Tak najniższego nie karali sługi,  
Jak on ich karze. Czy i dla nich dzisiaj  
Nie znaleźć żadnej opieki?

CAMILLO.

Dlaczego?

Gdyby zechcieli poprosić papieża,  
Mniemam, że chętnie wysłucha ich prośby.  
Ale za przykład stawia niebezpieczny  
W czembądź osłabiać ojcowską powagę,  
Będącą jego powagi obrazem.  
Proszę, przebaczenie, czekają mnie sprawy,  
Co żadnej zwłoki nie cierpią. (CAMILLO odchodzi).

GIACOMO.

Orsino,

U was jest prośba, przecz jej nie oddacie?

ORSINO. Jam ją przedłożył i poparł ją słowy  
Najgorętszemi, lecz prośbę zwrócono  
Bez odpowiedzi. Nie wątpię, że straszne  
I krwawe czyny, o których w niej mowa —

Zaistel czyny, z których śmiać się łatwiej,  
Niżli w nie wierzyć — niełaskę papieża  
Ściągnęły raczej na oskarżycieli,  
Niż na zbrodniarza; przynajmniej tak sędzę  
Z tego, co właśnie Camillo tu mówił.

GIACOMO. Mój drogi, złoto, ten czart, co się wciska

Za próg pałaców, podszeptalo tutaj,  
Ażeby zamilkł Jego Świątobliwość.  
Dziś nasze losy jak skorpion w ogniu:  
Cóż nam zostało, oprócz samobójstwa?  
Albowiem tego, który dla nas krwawym  
Był prześladowcą, strzeże święte imię  
Ojca, inaczej, jaby...

ORSINO.

Co? Bez strachu

Myśl swą wyjawcie. Słowa tylko święte,  
Jeśli i czyny, które kryją, święte.  
Kapłan, co swego zaprzedał Boga,  
Sędzia, co prawdę w swych wyrokach krzywdzi,  
Przyjaciół, który — jak ja tu — swej rady  
Udziela tylko dla własnej korzyści  
Ojciec, będący tyranem we wszystkim,  
Kalają tylko swoje święte imię.

GIACOMO. Przestańcie pytać, com myślał; częstokroć

Mimo swej woli płodzi mózg zamiary  
I wyobraźnia takie stwarza widma,

Którychby język nie wyrzeźbił w słowach,  
Dla których niema słów żadnych — ich groza  
Topi je w zmroku przed duszy żrenicą:  
Me serce wzdryga się na myśl, o którą  
Wy mnie pytacie.

ORSINO. Lecz pierś przyjaciela  
Jest duszy naszej tajemną kryjówką:  
W niej się chowamy przed dnia przenikliwym  
Wzrokiem i przed tem wymownem powietrzem.  
Treść mych podejrzeń widzę w waszych oczach.

GIACOMO. Oszczędźcie dziś mnie! Jestem jako człowiek,  
Który północą zabłądził śród lasu  
I spokojnego spotkawszy przechodnia  
W tej puszczy, nie śmie o tór się zapytać,  
Ażeby nie był, jak myśl ma — zabójcą!  
Znam waszą przyjaźń i wszystko, co duszy  
Swojej wyjawię, i wam bym powierzył.  
Lecz moje serce dziś ciężkie; samotne,  
Chciałoby rady zasięgnąć u nocy  
Bez trosk bezsennych. Przebaczone mi zatem,  
Że się już z wami pożegnam... Żegnajcie.  
Obym do swojej podejrzliwej duszy  
Mógł zwrócić słowa, tak pełne spokoju!

ORSINO. Żegnajcie!... Myślcie szlachetniej lub śmieiej!  
(GIACOMO wychodzi).

Kardynałowi Camillo zleciłem,  
Aby, na zimno dodawając męztwa,  
Podniecał jego nadzieje. Niezwykłą  
Świadczy usługę mym tajnym zamiarom  
Skłonność rodziny, każąca im ciągle  
Rozcząstkowywać swe i obce serca.  
Ta anatomia odsłania zaś woli  
Wskróś niebezpieczne tajniki, na próbę  
Wystawia siłę życiową i uczy,  
Jak powinniśmy myśleć i jak działać —  
Aż przy najgłębszej ciemni naszych planów.  
Tak Cenci popadł w te sidła; a ja zaś,  
Odkąd Beatryks mnie przedemną samym  
Odkryła, każąc mi blednąć na myśl tę,  
Przed którą uciec nie mogę — zbyt nędzną  
Jestem postacią, bym się sam szanował.  
Jednak w połowie jam się z tem pogodził.  
Będę się starał, aby jak najmniejszą  
Popęlnić zbrodnię: ta myśl niech przekupi  
Oskarżyciela-sumienie. (Po chwili) Cóż złego,  
Choćby Cenciego zabito? Lecz znowu  
Czyliż koniecznie ja mam być zabójcą?  
Czyż ja nie mogę wyciągnąć korzyści  
Z pełnego czynu, unikając grzechu  
I niebezpieczeństw? Ze wszystkich śmiertelnych  
Najbardziej boję się tych, co działają  
Prędzej, niż mówią, a takim jest Cenci.  
Jeśli zaś Cenci zostanie przy życiu,

To posag córki będzie skrytym grobem  
Dla mnie, kapłana, gdybym ją pozyskał.  
Piękna Beatryks! Obym cię był nigdy  
Tak nie ukochał! lub kochając ciebie,  
Obym był umiał pogardzić na zawsze  
Niebezpieczeństwem i złotem i wszystkim,  
Co między mojem sroży się pragnieniem,  
A jego celem, albo się uśmiecha  
Za tą granicą... Tu niema już wyjścia.  
Jej postać klęka ze mną przy ołtarzu  
I wręcz mnie ściga śród natłoku ludzi  
I sen mój widmy napełnia dzikimi —  
Ze, zbudzon, czuję, miast krwi, ogień płynny.  
A gdy spotniałej, obłąkanej skroni  
Dotknę się ręką, ręka snąć ją spali;  
Na samo imię, gdy je obcy powie,  
Drży moje serce boleścią. I tak to  
Ściskam rozkoszy niedoznanych widmo,  
Aż nie uwierzy chora wyobraźnia,  
Że już posiadała marę — plód swój własny.  
Dłużej nie myślę już karmić swej duszy  
Strawą febrycznych widziadeł. Z Giacoma  
Rozwitej myśli mój się plan rozwinie.  
Patrzę, jak z wieży, na koniec wszystkiego.  
Jej ojciec umrze, bratam zobowiązał  
Już tajemnicą, niż sam grób, pewniejszą;  
Matka wciąż w strachu, skrępowana własnych,  
Spełnionych pragnień straszliwym rodzajem;

A ona... męztwa dziś jeszcze, o serce!  
Na cóż samotne odważy się dziewczę,  
Złączone z tobą?... Widzę skutek pewny.  
Kiedy się straszne zbliżają wypadki,  
Jakoweś bóstwo niewidzialne wlewa  
W duszę człowieka posępne zamiary;  
A tu najlepsze zbierają owoce  
Nie ci, co złęgo stają się narzędziem,  
Lecz ci, co póty czarnemu duchowi  
Umieją schlebiać, aż ten duch, czyniący  
Łup swój z serc innych, pójdzie do nich w służbę —  
To jest jedyna droga, którą pójdę.

## AKT TRZECI.

### SCENA I.

Pokój w pałacu CENCICH. — LUCREZIA. wkrótce potem BEATRICE  
chwycie się i mówi wzburzona.

BEATRICE. Podaj mi chustkę. Mózg mój srodze ranny,  
Oczy krwi pełne — otrzyj łzy mi krwawe! —  
Mgłą mi zachodzą źrenice!

LUCREZIA. O dziecię,  
Nie jesteś ranną! wszak to tylko zimna  
Sący się kropla z drogiej skroni. — Biada!  
Cóż się to stało?

BEATRICE. Któż mi rozplótł włosy?  
Wzrok mi zasłania warkocz rozwinięty,  
A jednak jam go związała. — O strasznie!  
Posadzka drży mi pod stopą i ściany

Kręcą się w koło. Przedemną kobieta  
Stoi płacząca, martwa, nieruchoma,  
A mnie jakgdyby świat porwał w swe wiry.  
Krwia obryzgane to przezrocze niebios  
I słońce czarnym wije się promieniem  
Po tej posadzce. Powietrze zmieniło  
W trupi się zaduch, co z grobowców wieje.  
Ach! ja się duszę! Zaraźliwa, czarna  
Mgła mnie objęła, a ciężka i lepka,  
Jak z krwi i kości. Nie umiem jej strząsnąć,  
Tak mi zlepiła te palce i członki,  
I tak się w żyły mi wżera i ciało  
W ciecz mi rozkłada obmierzłą i truje  
Ten mój najczystszy, wewnętrzny dech życia.  
Mój Boże! dawniej jam wcale nie znała  
Uczuć szaleńca, dziś samam szalona!  
(Coraz gwałtowniej). Nie! jam umarła! te spróchniałe kości  
Zamknęły w sobie, jak w trumnie, mą duszę,  
Co się tak pragnie wyłamać w przestworze,  
(Po chwili) Jakaż myśl straszna przyszła mi w tej chwili —  
Znikła! lecz jeszcze pozostał jej ciężar  
Na sennych oczach — na znużonem sercu!  
O świecie! życie! o ty dniu! o doło!

LUCREZIA. Cóż cię tak boli, moje dziecko? Milczy.  
Jej duch utonął w uczuciu boleści,  
Lecz nie w przyczynie: boleść wysuszyła  
Swe własne źródło.

BEATRICE (jak obłąkana). Jakby ojcobójstwo —  
Nieszczęście ojca zabiło swojego,  
Lecz jego ojciec nie był nigdy memu  
Podobien ojcu. Boże! czemże jestem?!

LUCREZIA. Drogie me dziecko, cóż ci ojciec zrobił?

BEATRICE. (Podejrzliwie). Kto mi się pyta? wcale nie mam ojca.  
(Na stronie) To dom szalonych, a ona w nim stróżem.

Strzeże mnie tutaj; mizerna to służba.

(Do LUCRECYI głosem powolnym, przytłumionym).

Otóż myślałam, że jest Beatrycą —

Na uściech ludzi żyjącą, — nieszczęsną,

Tą, którą ojciec od sali do sali

Nieraz za włosy szarpie rozplecione

Lub nagą w stęchłej zamyka komorze,

Gdzie łuskowate wiją się padalce,

I gdzie ją mięsem cuchnącem zamarza.

Smutne to, w białych tak utonąć marach,

Zem pomyślała — nie to być nie może...

Straszne już rzeczy były na tym świecie,

Dziwne złączenia, dziwne powikłania

I zła i dobra; niejednen haniebny

Powzięto zamiar, którego wykonać

Żadneby serce nie śmiało, lecz nigdy

Nie wytworzyła wyobraźnia czynu

Tak — (Przerywa, przychodząc do przytomności).

Kto ty jesteś? przysięgnij, nim umrę

Sród oczekiwań straszliwych, że przecież  
Nie jesteś wcale, czem się zdajesz — matką!

LUCREZIA. O lube dziecko, czy wiesz —

BEATRICE.

Nic już nie mów;

Gdyby to bowiem było prawdą, wówczas

Byłoby prawdą i tamto, stanowczą,

Żywotną prawdą, spojona z wszystkimi

Życia przypadki — niezmienną, niezmarłą.

Tak, wszystko prawda: to jest pałac Cencich,

Tys jest Lukrecyą, a ja Beatrycą.

Jam powiedziała kilka słów szalonych —

Lecz już nie powiem. Matko, zbliż się, odtąd

Jestem... (Głos jej zamiera).

LUCREZIA. O biada! cóż się stało, dziecię?

Coć zrobić ojciec?

BEATRICE.

Co ja uczyniłam?

Czyliż nie jestem niewinną? Czyż moją

Ma to być zbrodnią, że ktoś z włosem starca

I z czołem pana, co od niepamiętnych

Lat mnie katował — bardziej, niż rodzice

Katować zdolni — zwie się moim ojcem,

A jest... o biada! czem jestem? Czem będzie

Imię i byt mój? i czem pamięć o mnie?!

Czem me wspomnienia, choć rozpacz przeżyję?!

LUCREZIA. Prawda, me dziecko, gwałtowny to tyran;

I śmierć nas tylko wyswobodzić może —  
Jego lub nasza. — Lecz czyż mógł straszniejszą  
Wyrządzić hańbę? wyszukańszą krzywdę?  
Tyś sobie samej niepodobna; z oczu  
Jakiś niepewny, błędny blask ci strzela.  
Mówże — rozerwij te wybladłe ręce,  
Co niby w palcach się zrosły.

BEATRICE.

To życia

Tak ją katuje niepokój. Przemówię,  
A oszaleję. Tak, coś czynić trzeba,  
Lecz co? ja nie wiem — coś, co krzywdę moją,  
Której doznałam, w nikły cień zamieni  
Wobec straszliwych błyskawic mej zemsty;  
Coś, co gwałtownie, niewzruszenie działa,  
Co zniszczy skutki tych przyczyn, dla których  
Dziś już nie znaleźć żadnego lekarstwa.  
Coś, co mi cierpieć lub wypełnić trzeba.  
Spokojną będę, gdy to coś już poznam,  
Lecz teraz — o krwi ze krwi mego ojca,  
Ty, która krążysz wśród tych żył splamionych —  
Gdybyś ty, cieknąc na skażoną ziemię,  
Mogła zmyć zbrodnię i hańbiącą mękę,  
Którą tu znoszę — nie! to być nie może!  
Nie jeden, wątpiąc, zali Bóg jest w niebie,  
Widząc i znając nikczemność, sam gotów  
Śmierć sobie zadać, lecz we mnie tej wiary  
Żadna już boleść zaciemnić nie zdoła,

LUCREZIA. Zaprawdę, gorzka to musi być krzywda —  
Lecz co, ja nawet pomyśleć nie umiem.  
Nieszczęsne dziecko, nie kryj w tym zamkniętym  
I dumnym smutku swojego cierpienia  
Przed moją trwogą.

BEATRICE.

Nie kryję go wcale.

Jakiemiż słowa mam ci to powiedzieć?  
Ja, co nie umiem wytworzyć w swej duszy  
Obrazu takiej przemiany — ja, której  
Myśli w swą własną chowają się grozę,  
Jako upiory w swój całun! Z słów wszystkich,  
Które śmiertelnym służą do wynurzeń,  
Jakie chcesz słyszeć? Tu niema słów żadnych  
Dla mojej krzywdy. Gdyby jakaś inna  
Doznała rzeczy podobnej, zmarłaby,  
Jak ja chcę umrzeć i zbrodni by miana  
Nie zostawiła, jak ja nie zostawię!  
Śmierci! o śmierci! prawo i religia  
Zwią cię nagrodą lub karą. Cóż sobie  
Ja zasłużyłam?

LUCREZIA.

Spokój niewinności,

Aż w swoim czasie odwoła cię niebo.  
Cokolwiek tylko musiałaś tu cierpieć,  
Nie popełniłaś nic złego! Śmierć tylko  
Karą za zbrodnie, nagrodą za ciernie,  
Które sam Bóg nam podesał pod stopy  
W drodze, wiodącej do wiecznego życia.

BEATRICE. Tak, śmierć to kara za zbrodnię. O Boże!

Nie daj, bym była obłąkanym sędzią!  
Jeśli dzień za dniem trzeba żyć, jeżeli  
Trzeba zachować to ciało, niegodny  
Twojego ducha przybytek — jaskinię,  
Dzisiaj splamioną, w której wszystko, wszystko,  
Na co ty grozę uczuwasz, bezkarnie  
Urąga tobie — nie! to być nie może!  
Co? samobójstwo? — nie! i to nie zbawi.  
Twe przykazanie, jak przepaść piekielna,  
Między niem zięje, a wołą człowieka.  
Ach! na tym świecie nie szukać wyroku,  
Nie szukać prawa, ażeby osądzić  
I skarać krzywdę, która mnie dotknęła.

(Wchodzi ORSINO. — BEATRICE zbliża się do niego w uroczysty sposób).

Witajcie do nas, przyjacielu! Odkąd  
Rozstaliśmy się za ostatnim razem,  
Jam tak niezwykle doznała boleści,  
Ze mi spokoju nie da śmierć ni życie!  
Lecz nie pytajcie, co było, gdyż tutaj  
Są takie rzeczy, dla których nie znaleźć  
Kształtów wam żadnych, i takie cierpienia,  
Dla których niema ludzkiego języka.

ORSINO. A któż was skrzywdził?

BEATRICE. Człowiek, co się zowie  
Rodzonym ojcem. Straszliwe to imię.

ORSINO. To być nie może —

BEATRICE. Może czy nie może,  
Tem się nie bawcie. Tak jest i tak było.  
Radźcie, jak stać się nie powinno więcej.  
Pragnęłam umrzeć, lecz mnie powstrzymała  
Cześć dla religii i bojaźń, że w śmierci  
Nie znajdzie sobie oparcia świadomość  
Tego, co jeszcze niezgładzone dotąd.

ORSINO. Za czyn ten skargę zanieście na niego,  
Niech mści się prawo!

BEATRICE. O zimny doradzco!  
Chociaż i znajdę to słowo, co zbrodnię  
Mojego kata odsłoni; choć język  
Wyrwie jak miecz mi tajemnicę z łona,  
Co mi się wpiła w rdzeń serca, i wszystko —  
Wszystko wyjaw, aż me czyste imię  
Stanie się lepem dla miejskich kumoszek,  
Przedmiotem oszczerstw, przysłowiem, zadziwem —  
Choć się to stanie, co stać się nie może,  
Bacźcie na złoto oprawcy, na zemstę,  
I na tę grozę haniebnych posądzeń,  
Co kłamią prawdzie i depcą wyrazy:  
Posądzeń ledwie wyszeptanych, dziwnych  
I niepojętych, otulonych w straszne  
Znaki! — O! pewna nadzwyczaj ucieczka!

ORSINO. Chcecie więc cierpieć?

BEATRICE.

Cierpieć? — o Orsino!

Z waszej mi rady nie zbyt wielka korzyść. (Odwraca się od niego).

Trzeba raz zacząć i raz już zakończyć.

Jakaż to wznosi mgła się niepochwytna,

Uwita z myśli, że, by cienie w cieniach,

Jedna się w drugiej zanurza?

ORSINO.

Czyż miałby

Zyc ten złoczyńca? cieszyć się z swych czynów

I jakąkolwiek bądź zbrodnię (straszną

Zbrodnię zapewne) urobić w swój zwyczaj,

Aż ty zupełnie zaginiesz, zniżywszy

Do tych się rzeczy, na które zezwolisz?

BEATRICE (do siebie). Potężna śmierci! ty dwulicy cieniu!

Jedyny sędzio! ty najsprawiedliwszy

Rozjemco! (Odwraca się, zatopiona w myślach).

LUCREZIA. Oby tutaj piorun Boga

Spłynął na ziemię i mścił się —

ORSINO.

Nie bluźnić!

Jego nadziejska opatrzność powierza

Chwałę swą ziemi, a jej krzywdę w rękę

Ludzi złożyła — jeśli ludzie zbrodni

Karać nie będą —

LUCREZIA.

Lecz jeśli zbrodniarze,

Jak ten, swem złotem przekupują siłę,

Prawo i język ogółu? jeżeli

Nie znaleźć nam już pomocy u tego,

Przed którym nawet drżałby najwinniejszy.

Jeśli dla tego, że nasze cierpienie

Nienaturalne, niepojęte — Boże!

Jeśli z tych samych powodów, dla których

Bronić nas winien, kat tryumf odnosi?

A my, ofiary, znosim cięższe plagi,

Niż te, co dotknąć winny dręczyciela?...

ORSINO. Wierzajcie, krzywda znajdzie rychłą pomoc,

Jeśli ją tylko podchwycim odważnie.

LUCREZIA. Co? gdyby był tu jaki środek pewny,

Lecz ja nie widzę — może dobrze będzie —

ORSINO. Ostatnia zbrodnia względem Beatryczy

Jest, choć się ledwie domyślam, tej miary,

Że skrucha tutaj brakiem własnej cześci;

I tylko jeden został obowiązek:

Dla córki — zemsta; dla was — z złem się zgodzić,

Ażeby uciec przede złem, a dla mnie —

Tylko porada —

LUCREZIA.

Nie możemy tuszyć,

Że dla nas pomoc, ratunek, zbawienie





ORSINO. Czy zmrok zapadnie, nim będziecie w zamku?

LUCREZIA. Słońce zaledwie będzie gasnąć.

BEATRICE,

Pomnę,

Ze, o dwie mile od twierdzy, wśród jarów  
Prowadzi droga głębokich; nierówna  
I wązka, stromą wije się krawędzią.  
Olbrzymia skała sterczy w tej głębinie  
I, niby z strachu, od lat niepamiętnych  
Drży nad przepaścią i, wpiąwszy się w ziemię,  
By wśród ostatnich, śmiertelnych wyjężeń,  
Zdaje się spadać powoli — powoli.  
Tak samo wpina grzesznika się dusza  
W bryłę żywota. Lecz wpiąwszy się, skała  
Gnie się i chyli i przez to czarniejszą  
Czyni tę bezdeń, w którą zapaść grozi.  
Dołem, pod skałą, olbrzymia, jak rozpacz,  
I niby senna, zije smutna góra.  
A jeszcze niżej słyhać rwisty potok,  
Huczący pośród otchłani: jej brzegi  
Most jakiś łączy. Górą, nad przepaścią,  
Rosną, od wierchu do wierchu, posępne  
Cedry i cisy i jodły i gęste  
Splatają liście w grubą przędzę cieniów,  
Łącząc się z bluszczu omrocznymi sploty.  
W południe tutaj ledwie świt przebija,  
A o zachodzie włada noc najgłębsza.

ORSINO. Zanim dotrzecie do mostu, zostańcie  
Pod tym pozorem, że muły wam pognać  
Lub czekać trzeba! aż...

BEATRICE.

Co to za odgłos?

LUCREZIA. Cyt!... to nie sługi są kroki, to Cenci  
Niespodziewanie powrócił; wymyście,  
Z jakiej przyczyny jesteście tu z nami.

BEATRICE. Stopa, co ku nam się zbliża, nie może  
Nigdy przestąpić znanego nam mostu.

(BEATRICE i LUCREZIA wychodzą).

ORSINO. Co tutaj począć? Cenci mnie tu znajdzie  
I ja znieść muszę... to wyniosłe śledztwo  
Jego spojrzenia, po com przybył dotąd?  
Maską mi będzie obojętny uśmiech.

(Wchodzi GIACOMO).

Jakto? mieliścież odwagę tu przybyć?  
Więc pewno wiecie, że Cenci u siebie?

GIACOMO. Szukam go tutaj i poczekać muszę,  
Pokaż nie wróci.

ORSINO. O ty wielki Boże!  
Rozważyliścież skutki tej śmiałości?

GIACOMO. Czyż ten oprawca wie już, co mu grozi?

My dziś do siebie — nie jak syn do ojca:  
Jak mąż do męża, jako wróg do wroga!  
Jak ciemiężony do swego ciemiężcy,  
Jak spotwarzony do potwarcy swego.  
Zdeptał naturę, co mu bronią była,  
Dziś go natura zdeptała shańbiona!  
Ja gardzę jednym i drugim. Bo czyliż  
Ojca to gardło, które dławic będę,  
Mówiąc: nie złota ja pragnę, nie pragnę  
Tych lat wesołych i nie pragnę wspomnień  
Cichej młodości; nie dla mnie już miłość,  
Której w rodzinnym zażywamy domu;  
Choć mi zabrałeś to wszystko i więcej,  
Żądam jednego: zwróć mi dobrą sławę,  
Ten skarb pokoju, o którym sądziłem,  
Ze go już twoja nie wyszuka zawiść  
Z pod krzywd tych ciężkich, doznanych od ciebie,  
Inaczej ja cię... O, Bóg mnie zrozumie  
I Bóg przebaczy... po co mówić ludziom!

ORSINO. Cicho, mój drogi.

GIACOMO. Dobrze, powiem cicho,  
Co mi uczynił. Jak wiecie, ten stary  
Francesko Cenci pożyczył odemnie  
Posagu żony, a potem zaprzeczył  
I wepchnął w nędzę; pragnąłem się wyrwać,

Przyjmując jaki mały urząd w państwie.  
I przyrzeczono mi miejsce; kupiłem  
Nowych sukienek dla obdartych dzieci,  
I żona mi się uśmiecha i serce  
Znalazło spokój stracony. Wtem Cenci  
Jakiemuś szui wyrobił ten urząd,  
Płacąc urzędem nikczemną przysługę.  
Gdym wrócił z smutną nowiną, siedliśmy,  
Aby ukoić naszą rozpacz łzami  
Owej miłości i niezgiętej wiary,  
Które łagodzą najprzykrszejsze żółcie.  
Wtem on, jak zwykle, wszedł pełen złorzeczeń  
I jął wyszydzać naszą nędzę, twierdząc,  
Iż to bicz boży na wyrodnym synów —  
A gdym wyrzucił posag mojej żony,  
By usta wstydem mu zamknąć, wynalazł  
Krótką i czelną opowieść, że grosz ten  
Zmarnotrawiłem na tajemne grzechy,  
I zobaczywszy, że żonę ugodził,  
Odszedł z uśmiechem. I ja, kiedym spostrzegł,  
Jakie wrażenie swoim kłamstwem wywarł,  
Jak żona gniewem wyszydza milczącym  
Żar mych zaprzeczeń i mierzy mnie chłodem —  
I ja wyszedłem, lecz rychło wróciłem —  
O, nie tak rychło, by żona nie mogła  
Serca mych dzieci podburzyć. I dzieci  
Moje wołały: Ojcze, daj nam sukien,  
Daj-że nam chleba lepszego! coś w jednej

Przetrawił nocy, na miesiące starczy!  
I tak, miast domu, zobaczyłem piekło,  
I nie powrócę do tych piekieł prędej,  
Póki ten wróg mi nie uczyni zadość,  
Albo, jak on mi to marne dał życie,  
Ja, depcąc prawa natury...

ORSINO. Wierzajcie,  
Nie tu wam szukać zadosycuczynień —

GIACOMO. Wtedy — czy wyście nie mym przyjacielem?  
Nie podaliścież mi znaku ostatnich  
Już postanowień ponad tą przepaścią —  
Ostatnim razem rozmawiając ze mną?  
Wówczas ma dola była lżejszą. Grozą  
Dziś mnie napęlnia wyraz „ojcóbóstwo“,  
Jakkolwiek kroku nie cofnę.

ORSINO. To strachy,  
Strachy, nic więcej: samo bowiem słowo  
Jest tylko pustą igraszką. Patrzajcie,  
Jak, do jednego sprowadzając kłębka  
W swojej mądrości te nici wyroków  
Najsprawiedliwszych, uświęca je bóstwo:  
Co wyście w swoim postawili sercu,  
To już nieledwie spełnione...

GIACOMO. Nie żyje?

ORSINO. Grób dłań gotowy. Gdyśmy się rozstali,  
Cenci popełnił zbrodnię na swej córce.

GIACOMO. Jakąż to zbrodnię?

ORSINO. Nie chciała jej nazwać,  
Lecz wam nie trudno będzie wpół odgadnąć  
Z zsiniałej twarzy i z troski głębokiej,  
Osiadłej w zmarszczkach jej czoła, z źrenicy,  
Patrzącej niemo i błędnie, i z głosu  
Przytępionego, co miłość i bojaźń  
Zarówno tłumi, nareszcie i z tego:  
Kiedy, nie mogąc ochłonąć ze zgrozy,  
Ja z jej macochą, zajęci rozmową,  
Ledwie, że z ciemnych, nieokreślonych znaków  
Oraz niepewnych podejrzeń do prawdy  
Chcieliśmy dotrzeć i, choć chwiejni w sądzie,  
Zemścić się za nią, przerwała nam ona  
Nasze domysły — i to takim wzrokiem,  
Który nam mówił: on umrzeć powinien!

GIACOMO. Dość, jam wątpliwość swą już zaspokoił:  
Wyższą tu widzę przyczynę, niż moja,  
Aby to spełnić; sprawiedliwszy sędzia  
Niepokalanym będzie tu mścicielem.  
O Beatrycze! Ty od lat najmłodszych  
Nie mogłaś zdeptać robaka ni kwiatu  
Zerwać świeżego, by nad nim nie ronić

Tych łez dziewiczych. O siostró nadobna!  
Miłość i mądrość złączyły się w tobie  
Aż do podziwu, że jedna nad drugą  
Nie zapanuje! I ty masz być tutaj  
Łupem zniszczenia. Serce! nie chcę więcej  
Usprawiedliwień! Czyż czekać, Orsino,  
I tu u drzwi tych zadać cios oprawcy?

ORSINO. Nie. Tu przypadek mógłby jaki wkroczyć  
I tak go zbawić od pewnych przeznaczeń,  
A przytem gdzież wam uciekać i jak się  
Usprawiedliwić i ukryć? Słuchajcie:  
Wszystko gotowe i skutek tak pewny,  
Że... (Wchodzi BEATRICE).

BEATRICE. To głos brata! Czy mnie niepoznajesz?

GIACOMO. O siostró! siostró zgubiona.

BEATRICE. Zgubiona!  
Widzę, że z tobą rozmawiał Orsino  
I że domyślasz się rzeczy zbyt strasznych,  
By znaleźć słowa, a jednak mniej strasznych,  
Niż prawda sama. Odejdź, mógłby wrócić.  
Wprzód mnie pocałuj, a to mi dowodem  
Będzie, żeś z jego pogodził się śmiercią.  
O, żegnaj, żegnaj. Niechaj cześć dla Boga  
I miłość bratnia, sprawiedliwość, litość

I wszystkie rzeczy, co najtwardsze serca  
Mogłyby zmiękczyć, twe serce, o bracie,  
Twardszem uczynią! Nie mów nic — i żegnaj!  
(Wychodzą w różnym kierunku).

## SCENA II.

Uboga izba w domu GIACOMA. — GIACOMO sam.

GIACOMO. Północ. Orsino nie przychodzi. Cóż to?  
(Słychać grzmot i wycie burzy).

Czyliżby miały wieczyste żywioły  
Czuć współ z takim robakiem, jak człowiek?  
Nie! wszak pociski litośnych błyskawic  
Nie godziłyby tylko w głaz i drzewo.  
Żona i dzieci moje śpią, w niewinnych  
Snach zatopione, mnie zaś czuwać trzeba  
Śród niemych zwątpień, czy czyn ten niezbędnym  
Będzie i słuszny zarazem. Ty lampo  
Niepodsycana! twe wątle iskierki  
Wicher rozwiewa; na krawędzi twojej  
Legł zmrok zgłodniały. Ty wążki płomyczku,  
Co tak się wznosisz i spadasz, migocąc,  
Jak konający puls, — zbyt prędko zgaśniesz,  
Gdy cię przestanę podsycać; zbyt prędko  
W to się zamienisz, czem nigdy nie byłeś!  
Tak dzisiaj zgaśnie i zginie to życie,  
Co niegdyś moje wznieciło. Lecz żadna

Już nie potrafi napełnić potęga  
Olejem życia lampy tego ciała,  
Gdy się raz stłucze. Ha! to krew ta płynie,  
Co zasyczała te żyły, aż wszystko  
Złodowacieje. To ciało, co niegdyś  
Mnie zapłodniło, w zsiniałych i żółkłych  
Wije się kurczach śmiertelnych. To dusza,  
Co nieśmiertelne wyrzyła mi piętno,  
Podobne Bogu, staje dzisiaj nagą  
Przed tym niebieskim, sprawiedliwym sędzią.  
(Zegar bije). Raz! dwa! godziny wloką się powoli.  
Ach kiedy włos mój zbieleje, i syn mój  
Może, jak ja dziś, będzie liczył chwile,  
Trapiiony słuszną zawiścią i serca  
Płonny wyrzutem, będzie tak zlorzeczył  
Późnym zwiastunom upragnionych nowin!  
Niemalbym pragnął, ażeby żył jeszcze,  
Choć moje krzywdy nadmierne. Jednakże ~  
To krok Orsina. (Wchodzi Orsino). O mówcie.

ORSINO. Powiedzieć  
Chciałem wam tylko, że uszedł.

GIACOMO. Co? uszedł?...

ORSINO. Zdrów ~ do Petrelli. Wcześniej o godzinę  
Przybył na miejsce, gdzie miał czyn być spełnion.

GIACOMO. Mamyż być tutaj błaznami przypadku  
I czas w zwątpieniu marnotrawić ślepem,  
Gdy działać trzeba? O, ten grzmot i burza,  
Co się zdawały być jego podzwonem ~  
To tylko głośnie szyderstwo niebiosów  
Z naszej słabości! Odtąd żadnej skruchy  
Już nie uczuję ~ ani za swe myśli,  
Ani za czyny, prócz za własną skruchę!

ORSINO. Lampa zagasła.

GIACOMO. Gdy nie bolejemy,  
Że noc ten marny pochłonęła płomyk,  
Mamyż się troskać, że zgaśnie na zawsze  
Życie Cenci'ego, to światło, przy którym  
Szatany patrzą na swe własne zbrodnie?  
Zbyt jestem twardy!

ORSINO. O nie! bo i na cóż?  
Któżby przed skruchy drżał wybladłym widmem,  
Gdy rzecz tak słuszną? Jakkolwiek dziś spełznął  
Pierwszy nasz zamiar, nie wątpię, że jeszcze  
W sam czas zgotuję mu spokój... Zaświećcie,  
Po co rozprawiać w tym zmroku?

GIACOMO (zapalając). A jednak,  
Już nie rozniecę życia mego ojca,

Gdy raz zagaśnie. Czy wy nie myślicie,  
Ze jego duch mnie oskarży przed Bogiem?  
ORSINO. Co raz już przeszło, to przeszło: zaprawdę,  
Nie odwołacie już spokoju siostry,  
Zgasłej nadziei, młodości i gorzkich  
Słów waszej żony ni tych wszystkich szyderstw,  
Którymi waszym urągał nieszczęściom  
On — w swoim szczęściu, ani zmarłej matki  
Ani —

GIACOMO. Nie mówcie już więcej! Jam gotów,  
Chociażbym własną miał zadławić ręką  
Tego, co dał mi to życie.

ORSINO. Nie trzeba.  
Słuchajcie. Znaćcie Olímpia: burgrabią  
Był niegdyś w zamku Petrelli, za czasów  
Colonny, — wiecie, ten, co go wasz ojciec  
Pozbawił miejsca? Znaćcie też i Marzia,  
Tego zbrodniarza, któremu nagrody  
Za jakąś krwawą odmówił przysługę!

GIACOMO. Tak, znam Olímpia. Podobno starego  
Tak nienawidzi, że aż w niemym gniewie  
Wargi mu bledną, gdy go tylko ujrzy.  
Co zaś do Marzia — nic niewiem.

ORSINO. Z pewnością

Nienawiść Marzia równa się zawiści  
Olímpia. Obu tych ludzi wysłałem —  
W waszem imieniu i niby na wasze  
Własne życzenie — by się rozmówili  
Wraz z Beatryczą i Lukrecyą.

GIACOMO. Tylko  
By rozmówili się z niemi?

ORSINO. Niech chwile,  
Co do jutrzejszej upłyną północy,  
Potok swój śmiercią zaznaczą. Umówić  
Trzeba się przedtem, a może i przywieść  
Czyn swój do końca.

GIACOMO. Słuchajcie, ten odgłos!

ORSINO. Pies tylko wyje i trzeszczą więzadła,  
Ale nic więcej.

GIACOMO. To żona ma płacze  
We śnie. Z pewnością nie jedną rzecz gorzką  
Mówi tam o mnie, a dzieci wokoło  
Śnią, żem ich chleba pozbawił —

ORSINO. Gdy człowiek,  
Co im go odjął naprawdę, co nędzny  
Spokój zaprawia im żółcią, w lubieżnej

Tonie rozkoszy i, pełen radości,  
Szydź z nich groźnej zawiści widmami.  
Co są aż nazbyt rzeczywistą prawdą.

GIACOMO. Nim on się jeszcze raz zbudzi, nie myślę  
Czekać już więcej na rękę najemną.

ORSINO. Byłoby dobrze. Mnie czas iść: dobranoc!  
Gdy się raz drugi zobaczymy —

GIACOMO. Wszystko  
Ma być spełnione — lecz i zapomniane!  
O gdybym nigdy nie był się urodził...  
(Wychodzą).

---

## AKT CZWARTY.

### SCENA I.

Pokój w zamku Petrella. — Wchodzi CENCI.

CENCI. Jeszcze nie idzie. Wszak ją zostawiłem  
Przewyciężoną, omdlałą. Zapewne  
Zna karygodność swej zwłoki. Lecz jeśli  
Byłyby płonne me groźby? Cóż z tego?  
Czyliż nie jestem śród murów Petrelli?  
Czyliż mam bać się ócz i uszu Rzymu?  
Czyż jej nie mógłbym wlec za włos złocisty?  
Deptać i snu ją pozbawiać, aż umysł  
Jej się zamąci? Oswoić ją głodem  
I kajdanami? Tu i mniej wystarczy.  
Lecz wtenczas płonne to, czego tak pragnę!  
Nie! niech jej upór zegnije się tak nízko  
Sam, z własnej woli, jak to, co ku ziemi  
Dziś go nagina. (Wchodzi LUCREZIA). Ty wstrętna nędznico!



Skryj się przed moją odrazą! uciekaj!...  
Zostań... niech do mnie przyjdzie Beatrice.

LUCREZIA. Mężu! na grzeszną zaklinam cię duszę,  
Pomyśl, co czynisz. Człowiek, co tak kroczy  
Jak ty, wśród zbrodni i wśród niebezpieczeństw  
Tych swoich zbrodni, może każdej chwili  
O niespodzianą potknąć się mogiłę.  
A tyś już stary i włos twój posiwiął.  
Chcesz się wybawić od śmierci i piekła,  
Twojej ulituj się córki; w małżeństwo  
Daj ją któremu z przyjaciół, niech w tobie  
Nie wywołuje zawiści lub gorszych  
Myśli — czyż może być w tem coś gorszego?

CENCI. Co? Tak jak siostra, co ma dziś przytułek,  
Gdzie mej zawiści urąga swem szczęściem?  
Niech was nieznaną zniweczy zatrata  
Ją, ciebie, wszystkich, co jeszcze zostali.  
Śmierć moja rychłą, lecz jej przeznaczenie  
Będzie rychlejszem. Idź, niech przyjdzie do mnie —  
Zanim się umysł mój zmieni, inaczej  
Za włosy ją tu przywlokę!

LUCREZIA. Małżonku,  
Ona do ciebie mnie tu śle! Wiesz dobrze,  
W twej obecności wpadła jakby w zachwyty,  
A w tym zachwycie jakiś głos jej mówił:

„Cenci niech umrze! Niechaj spowiedź czyni!  
Duch-oskarżyciel tylko jeszcze czeka,  
Czy Bóg, chcąc skarać bezmiar jego zbrodni,  
Mrącemu sercu nie każe zatwardzieć!“

CENCI. Tak — takie rzeczy się dzieją. Bezsprzecznie,  
Boskich objawień prawdziwość możliwa —  
I ja sam także doznałem ich łaski.  
Przekląłem synów, synowie pomarli!  
No — tak — a zresztą prawo i bezprawie  
To puste słowa! — Skrucha... otóż skrucha  
Jest dziełem chwili i więcej od Boga,  
Niżli odemnie zależy. Tak — trzeba  
Poświęcić większy plan, który miał zatruć,  
Który miał zniszczyć jej duszę. (Pauza). Tak — jeden...  
(LUCREZIA zbliża się ze strachem. Przy ostatnich słowach cofa się  
przeżrana).

Dwu... Kristofana i Rokka ma klątwa  
Już zadławiła. Giacomo, sądzę,  
Większe ma piekło, niżli to za grobem.  
Beatryks, jeśli ma zawiść się spełni,  
Umrze z rozpaczy, shańbiona: Bernardo —  
On tak niewinny! — o, jemu przekażę  
Pamięć tych czynów i młodość w nadziei  
Grób mu zamienię, gdzie myśli haniebne  
Wyrastać będą, jak zielsko, na dawno  
Już zapomnianej mogiłe. A kiedy  
Wszystko się skończy, w dalekiej Kampanii



A duch jej niechaj pójdzie przed tron Boga,  
Klątwy mej straszną owrzodziły dżumą!  
Ciało i duszę zmienię w kupę gruzów... (Wchodzi ANDREA).

ANDREA. Panna Beatryks ~

CENCI. Mów, błądy służalcze!  
Cóż powiedziała?

ANDREA. Zmierzyła mnie wzrokiem,  
A potem rzekła: idź i powiedz ojcu,  
Ze całe piekło zieje między nami:  
Chce, niech przekroczy tę przepaść, ja ~ nigdy,  
(ANDREA odchodzi).

CENCI. Idź ty, Lukrecyo! ~ powiedz, niech tu przyjdzie,  
Ale zarazem niechaj wie: jej przyjście  
To przyzwolenie! a przytem jej powiedz,  
Że, gdy nie przyjdzie, przeklnę ją. (LUCREZIA wychodzi).  
Ha! wszakże  
Ojca przekleństwem Pan Bóg popłoch wzbudza  
W hufcach zwyciężkich i miastom drżyć każe,  
Gdy są szczęśliwe. Wszak ojciec wszechświata  
Musi wysłuchać tych próśb, które rodzic  
Za swoje dzieci zanosí, chociażby  
Nawet był takim, jakim mnie świat zowie!  
Czyż w niej śmierć braci ~ wstrętnych buntowników ~  
Nie wzbudza strachu, nim ja sam przemówię?

Dla niej ja rychły wyblagałbym koniec,  
I koniec pewnoby przyszedł. (Wchodzi LUCREZIA). Cóż? nędzna!  
Mów!...

LUCREZIA. Powiedziała: ja przybyć nie mogę.  
Idź, rzeknij ojcu, że pomiędzy nami  
Krwi jego własnej widzę potok wrzący.

CENCI (klękając). O Boże! słuchaj!... jeżeli ten mięsa  
Przecudny kawał, z którego ty córkę  
Moją stworzyłeś, jest mą krwią; jeżeli  
Jest częścią mojej podzielnej istoty;  
Lub raczej moją trucizną, chorobą,  
Co mnie zaraża i truje; ten szatan,  
Który snąc ze mnie, jak z bezdni piekielnej,  
Wyskoczył tutaj, jeżeli stworzony  
Został na dobro jakoweś; jeżeli  
Jej czar promienny zapalił się na to,  
Ażeby świat ten rozjaśnić ponury;  
Jeśli miłości najwybrańszą rosą  
Karmione cnoty zakwitnącby miały  
W niej, aby w spokój zamienić jej żywot:  
O, przez wzgląd na mnie, ja dziś błagam Ciebie,  
Coś wspólnym Bogiem i ojcem jej, moim  
I wszystkich innych, cofnij ten swój wyrok!  
O ziemio! ty jej w imię Boga podaj  
Jadu na strawę, aż cała od wrzodów  
Oskorupieje! Niebo! na jej głowę

Spuśćże jej rosę cuchnących maremnow,  
Niech, jak ropucha, plam dostanie wstrętnych —  
Wysusz jej wargi, jeżeli miłością  
Kiedy zapłoną; te piękne jej członki  
W najobrzydliwsze poskręcaj kalectwo.  
Słońce, co patrzysz na wszystko! w jej oczy,  
Życiem iskrzące, ugódź nienawistnie  
Oślepiającym pociskiem!...

LUCREZIA. Ach! przestań!  
Przez wzgląd na siebie cofnij straszne słowa!  
Bo jeśli klątw twych wielki Bóg wysłucha,  
Ukarze ciebie.

CENCI (wstając gwałtownie i podnosząc rękę ku niebu).  
Niech On swoją spełnia  
Wolę, ja swoją! A jeszcze to jedno!  
Jeżeli kiedy porodzi —

LUCREZIA Myśl straszna!

CENCI. Jeżeli kiedy porodzi — Naturo!  
Ja cię na twego zaklinam tu Boga,  
Bądź przez nią płodną, rośnij ty i mnoż się,  
Spełniając jego rozkazy i moją  
Prośbę najgłębszą — niech dziecko to będzie  
Wynaturzonym odbiciem jej samej;  
Niechaj, jak obraz w spaczonym zwierciadle,

Z największą dla niej stopione ohydą  
Spogląda na nią, śmiejąc się u piersi.  
Niechaj to dziecko od pierwszej młodości  
Coraz złośliwsze, obrzydliwsze wzrasta,  
W zgrozę zmieniając macierzyńską miłość;  
Ona i ono niech żyją, dopóki  
Dziecko nie spłaci zawiścią matczynych  
Trosk i kłopotów, dopóki nie spełni  
Rzeczy, na jaką natura się wzdrygnie.  
Tak wśród uragań złośliwego świata  
Niech w lezczyszczoną wpędzi ją mogiłę.  
Mamże odwołać? Idź, niech tutaj przyjdzie,  
Nim moje słowa zapiszą w niebiosach.

(LUCREZIA wychodzi).

Mnie się dziś zdaje, żem nie jest jak człowiek,  
Lecz jako szatan, powołan, by karać  
Zbrodnie jakiegoś nieznanego świata.  
Krew w noich żyłach burzy się i pieni,  
Wre, skrzy się z jakiejś szalonej rozkoszy;  
Owładł mną zawrót dziwnego przestachu:  
Serce me bije, pełne oczekiwań  
Strasznej radości. (Wchodzi LUCREZIA).

Co? powiedz.

LUCREZIA. Mówiła:  
Niechaj przeklinał... A gdyby twa klątwa —  
Nawet jej duszę — co stać się nie może —  
Mogła dziś zabić —

CENCI. Nieprzyszłaby jeszcze!

Dobrze! ja jedno i drugie uczynię.

Najprzód osiągnę, czego chcę, a potem

Sam przyzwolenie wymuszę! Precz z oczu!

Precz, nim cię gniew mój rozkruszy. A strzeż się

Stawać na poprzek mym krokom tej nocy.

Między tygrysem a jego zdobyczą

Stanąć bezpieczniej! (LUCREZIA wychodzi).

Zapewne już późno;

Oczy się kleją; ciężar snu niezwykle

Spada mi oto na słabe powieki.

O ty sumienie, z kłamstw najbezwstydniejsze!

Sen, ta, jak mówią, rosa z nieb zesłana,

Orzeźwiający balsamem nie koi

Ducha, co ciebie nazywa oszustem.

Pójdę... godziną spoczynku głęboką —

O, ja to czuję — i cichą dowiodę,

Że jesteś kłamcą; a potem — o piekła!

Wasze sklepienia wstrząsną się od dzikiej,

Niewysłowionej radości szatanów!

Gór niebios a niech zadrżą skargami,

Jak nad upadkiem anioła; na ziemi

Niech wszystko dobre zwarzy się i zwiędnie;

A w tem, co złe jest, niech tchnieniem swem żywot

Wynaturzony rozbudza przebudny

Rozkwit i siłę — jak we mnie tej chwilil... (Wychodzi).

## SCENA II.

Przed zamkiem PETRELLA. — BEATRICE i LUCREZIA na wałach.

BEATRICE. Jeszcze nie idą.

LUCREZIA. Zaledwie jest północ.

BEATRICE. O jak leniwo za polotem myśli,

Śnać więdącemi z wielkiego pośpiechu,

Ołowianymi kroki czas się wlecze!

LUCREZIA. Minuty nikną... A gdy się przebudzi,

Nim czyn swój spełnią?

BEATRICE. O matko, przenigdy

Niech się nie zbudzi! To, co mi mówiłaś,

Wzdyć przekonuje, że czyn nasz wygania

Tylko szatana z tych głębin piekielnych

Ludzkiego ciała.

LUCREZIA. Prawda! z nazbyt dziwną,

Jak na złoczyńcę, wspominał pewnością

Sąd ostateczny i śmierć; jest to człowiek,

Co wierzy w Boga, lecz o złe i dobre

Troszczyć się nie chce... Lecz tak bez spowiedzi

Umierać!...

BEATRICE. Wierzaj, niebioso litośne  
I sprawiedliwe; na karb jego zbrodni  
Tej naszej strasznej konieczności dzisiaj  
Wzdyć nie doliczą — (wchodzą dołem OLIMPIO i MARZIO).

LUCREZIA Patrzaj! oto idą —  
BEATRICE. Wszystko śmiertelnie dąży tak do swoich  
Ukrytych celów. Ale zejźmy na dół.  
(LUCREZIA i BEATRICE znikają z wałów).

OLIMPIO. Jak się czujecie wobec tego czynu?

MARZIO. Myślę: za głowę starego zbrodniarza  
Ten tysiąc koron to święta zapłata —  
Twarz wasza blada?

OLIMPIO. Co zwiecie bladością,  
Pewnie to lica waszego odbicie.

MARZIO. Czy to jest zwykły wasz kolor?

OLIMPIO. Zapewne  
Moja nienawiść i dawno tłumione  
Pragnienie zemsty krew wyгнаły z twarzy.

MARZIO. Więc się na rzecz tę godzicie?

OLIMPIO. A jakże!

Gdyby mi tysiąc posypano koron,  
Bym zabił węża, co mi dziecko zranił,  
Mniej byłbym chętny. (BEATRICE i LUCREZIA zjawiają się dołem).  
Witajcie nam, panie!

BEATRICE. Czyście gotowi?

OLIMPIO. Śpi on?

MARZIO. Cicho-ż wszędzie?

LUCREZIA. Opium do jego domieszałam trunku:  
Śpi tak głęboko —

BEATRICE. Że ta śmierć mu będzie  
Jedynie zmianą jego snów bezwstydných,  
Ponurym ciągiem piekła jego duszy;  
Niech Bóg je zgaś! Wyście czy gotowi?  
Wiecie, że czyn ten wzniosły jest i święty.

OLIMPIO. Myśmy gotowi.

MARZIO. Lecz wy odpowiecie  
Za całe dzieło.

BEATRICE. Dobrze... teraz za mną!

OLIMPIO. Cyt! co za szelest?

MARZIO. Ktoś się tutaj zbliża,

BEATRICE. T'chórze! więzami sumienia splątani,  
W sen ukołyszcie dziecienniałe serca ~  
Brama żelazna, którą wy otworem  
Zostawiliście, tak skrzypi w szyderczych  
Pogwizdach wiatru. Za mną ~ dalej za mną  
Lekko i prędko, jak ja, i odważnie. (Wychodzą).

### SCENA III.

Pokój w zamku.

LUCREZIA. Teraz spełniają swe dzieło.

BEATRICE. Już koniec.

LUCREZIA. Ja nie słyszałam, by jęczał.

BEATRICE. Nie będzie!

LUCREZIA. Cóż to za odgłos?

BEATRICE. To odgłos ich kroków  
Wokoło łóżka.

LUCREZIA. Boże! teraz pewno  
Ciało już zimne ~

BEATRICE. O nie bój się tego,  
Co się spełniło, lecz tego, co teraz  
Nie wypełnionem zostało; to dzieło  
Przypieczętuje dziś wszystko.

(Wchodzą OLIMPIO i MARZIO).

MARZIO. Skończone?  
Co?

OLIMPIO. Czyście wy nas nie wołali?

BEATRICE. Kiedy?

OLIMPIO. Teraz.

BEATRICE. Ja pytam, czy wszystko skończone?

OLIMPIO. Jam się nie ważył zabić starca we śnie.  
Te włosy siwe, to czoło poważne,  
Te chude ręce, złamane na piersiach,  
Ten sen niewinny, w którym był pogrążon,  
Zabiły moją odwagę. Zaprawdę!  
Nie mogłem tego uczynić.

MARZIO. Jam za to  
Był odważniejszy; zelżyłem Olimpio'a,  
Każąc mu krzywdę znosić aż do grobu,  
A mnie zostawić gardłowe. I nóż swój

Do pomarszczonej przyłożyłem grdyki,  
W tem starzec we śnie się ruszył i wołał:  
Boże! ty Boże! słuchaj przekleństw ojca,  
Bo czyliż ojcem nie jesteś ty naszym?  
Potem się zaśmiał. I mnie się zdawało,  
Że duch mojego umarłego ojca  
Przez jego usta przemawia i zabić  
Ja go nie mogłem.

BEATRICE. Nikczemni służalcel!  
Gdy wam odwagi zabrakło, by zabić  
Spiącego starca, mieliście odwagę  
Stanąc przedemną, nie spełniwszy czynu?  
Podli oszuści! wy tchórze i zdrajcy:  
Co? to sumienie? które wy kładzicie  
Na wagę złota i zemsty? Śpi ono,  
Gdy o tysiące idzie takich łotrostw,  
Które człowieka okrywają hańbą!  
A tu, gdzie litość shańbiłaby niebo —  
Ha! co ja mówię?

(Wrywa jednemu z nich sztylet i podnosi go).

Choćbyś ty miał czelność

Rzec: ona ojca zabiła własnego,  
Jeszcze to zrobię! Ale wy nie sądzcie,  
Iże zbyt długo możecie go przeżyć.

OLIMPIO. Stójcie! na boga!

MARZIO. Pójdę i zabiję!

OLIMPIO. Oddajcie sztylet, spełnim waszą wolę.

BEATRICE. Oto go macie! idźcie i wracajcie!

(OLIMPIO i MARZIO odchodzą).

Jakaś ty błada; a przecież spełniamy  
Dzieło, którego nie spełnić śmiertelną  
Byłoby zbrodnią.

LUCREZIA. Oby już był koniec!

BEATRICE. Oto w tej chwili, kiedy wam zwątpienie

Ogarnia duszę, świat doznał przemiany:

Zmroki i piekło pochłonęły wyziew,

Który zesłały, by życia uroczą

Przyciemniał światłość. I mnie się wydaje,

Że lżej mój oddech się wznosi; że krew ta

W żyłach faluje swobodniej... Słuchajcie!

(Wchodzą OLIMPIO i MARZIO).

On —

OLIMPIO. Już zabity!

MARZIO. My go zadusili,

Aby nie było żadnej krwi i w ogród

Z balkonu ciężkie rzuciliśmy zwłoki,

By się zdawało, że wypadł.

BEATRICE (podając sakiewkę z pieniędzmi). Tul... złoto!



A teraz precz stąd! uchodźcie!... Ty, Marzio!  
Ponieważ tylko cofałeś się przed tem,  
Na co i moja drżała dusza... noś to!  
To płaszcz mojego praojca! (Rzuca mu płaszcz bogaty).

W dniach szczęścia

Nim się okrywał i ludzie zazdrością  
Pałali k'niemu. O niechaj i tobie  
Tak pozazdroszczą! W sprawiedliwym celu  
Byłeś narzędziem w ręku Boga... Długo  
Żyj i szczęśliwie!... Pamiętaj, gdy zbrodnię  
Spełnisz, pożałuj — to nie było zbrodnią  
(Słychać głos rogu).

LUCREZIA. Słuchaj! to róg jest zamkowy... Mój Boże  
Istny głos trąby ostatecznej.

BEATRICE. Pewno  
Gość jakiś idzie nie wporę.

LUCREZIA. Zwodzone  
Spuścili mosty... Ukryjcie się!... idźcie! —  
(MARZIO i OLIMPIO odchodzą).

BEATRICE. Wróćmy udawać, że śpimy głęboko,  
Mnie teraz nawet udawać nie trzeba.  
Duch, co panuje nad tymi członkami,  
Zdaje się dziwnie spokojnym. Bez strachu  
Mogłabym usnąć. Wszystko złe już przeszło.  
(Wychodzą).

## SCENA IV.

Inny pokój w zamku. Jedną stroną sługa wprowadza legata SAVELLE,  
drugą wchodzi LUCREZIA i BEATRICE.

SAVELLA. Szlachetna pani! urząd mój przy Jego  
Świątobliwości niech mnie uniewinni,  
Że tak nie wporę przerywam spoczynek.  
Trzeba mi mówić z hrabią Cenci; może  
Śpi już?

LUCREZIA (zmieszana i niespokojna).  
Z pewnością, że już śpi; lecz błagam  
Nie budźcie wy go; oszczędźcie mnie chwilę.  
Zły to zaprawdę i sromotny człowiek;  
Tak noc mu przerwać i zbudzić go ze snów,  
Które, jak mniemam, są bezdnią piekielną,  
Nie będzie dobrze! o nie będzie dobrze!  
Raczej czekajcie do świtu. (Na stronie).  
Umieram!

SAVELLA. Boli mnie bardzo, że was męczę, pani!  
Lecz hrabi trzeba na ciężkie zarzuty  
Dziś odpowiedzieć — i to zaraz; taki  
Dano mi rozkaz.

LUCREZIA (z wrastającym niepokojem). Ja się nie odważę  
Zbudzić i nie znam, ktoby się odważył;

To niebezpiecznie. Bezpieczniej wam zbudzić  
Zmiję; bezpieczniej zbudzić martwe zwłoki,  
Gdzie zły duch jakiś zamieszkał uspiomy.

SAVELLA. Pani! me chwile policzone; muszę  
Sam go obudzić, gdy nie śmie nikt inny.

LUCREZIA (na stronie).

O ty przestרחu! o rozpaczy! (Do BERNARDA) Prowadź,  
Bernardo, pana legata do Twego  
Ojca pokoju.

(SAVELLA i BERNARDO wychodzą. — Wchodzi BEATRICE).

BEATRICE. Oto jest posłaniec,  
Aby uwięzić zbrodniarza, co teraz  
Stoi przed tronem najwyższego Boga.  
Niebo i ziemia, dziś zgodni sędziowie,  
Zdejmują wszystką z nas winę.

LUCREZIA. Śmiertelny  
Przestרחu! Czemuż on jeszcze nie żyje!  
Właśnie słyszałam, jak szepotali z sobą  
Ci towarzysze legata, mówiący,  
Iż mają rozkaz na miejscu go zabić.  
Dozwołonymi chciano sprawić środki,  
Co drogo będzie nam trzeba okupić.  
Oto już zamek przetrząśli i ciało  
Oto znaleźli; oto całą prawdę

Podjerzywiają; oto radzą teraz,  
Zanim powrócą, by nam dowieść czynu.  
O zgrozo! wszystko odkryte!

BEATRICE. O matko!

To, co zrobiono rozsądnie, zrobiono  
Dobrze. Bądź mężną, tak jak prawą jesteś.  
Wszak to dzieciństwem obawiać się teraz,  
By naszych czynów nie odkryli inni,  
Właśnie dla tego, że duszę nam trapi  
Wyrzut sumienia i kiedy żrenicą  
Błądną i licem zmienionem zdradzamy  
To, cośmy ukryć pragnęli. Być wiernym  
Samemu sobie i świadków się innych  
Nie bać, prócz własnej bojaźni! A gdyby,  
Co być nie może, okoliczność jaka  
Miała nas zdradzić, nie łatwoż zamydlić  
Oczu podejrzeń wyrazem zdziwienia,  
Lub się postawić z tak niewinną dumą,  
Jakiej zbrodniarze uczuwać nie zdolni?  
To co się stało, to się stało; o to,  
Co stąd wyniknie, pytać się nie myślę.  
Nieskrępowaną czuję się jak światłość,  
Wolną się czuję, jak ten krąg powietrza,  
Co ponad ziemią zawisnął, a pewną  
Jak środek świata. Dla mnie wszystkie skutki  
To jak ten wichur, co smaga opokę,  
Ale nią wstrząsnąć nie może. (Słychać krzyk i hałas).

GŁOSY.

Morderstwo!

Morderstwo! (Wchodzi BERNARDO i SAVELLA).

SAVELLA. Zamek obejdźcie wokoło;  
Bijcie na alarm; zamknijcie bronice,  
By nikt nie uszedł.

BEATRICE. A cóż tam?

BERNARDO. Ja nie wiem,  
Co mam powiedzieć. Mój ojciec nie żyje.

BEATRICE. Co? on nie żyje? ty się mylisz, bracie,  
On śpi; sen jego zaprawdę głęboki!  
Sen jego śmierci podobien — zaprawdę!  
Dziwna, że tyran może spać spokojnie!  
On żyje, żyje.

BERNARDO. Nie żyje! zabity!

LUCREZIA. O, nie zabity, choć może nie żyje;  
Sama mam klucze od jego pokojów.

SAVELLA. Ha! więc to tak jest?

BEATRICE. Mój panie! przebacźcie!  
My się wrócimy; nie dobrze jest matce —  
Przestrach ją przemógł, zdaje się, zupełnie.  
(Wychodzą LUCREZIA i BEATRICE).

SAVELLA. Podejrzycie, ktoby mógł go zabić?

BERNARDO. Nie wiem, na kogoby myśleć.

SAVELLA. Możecież  
Nazwać mi kogo, coby w śmierci jego  
Miał swoją korzyść?

BERNARDO. O! trudniej tu nazwać,  
Ktoby jej nie miał; a pewno największą  
Ci, co nad śmiercią tą płaczą największej;  
Matka i siostra i ja sam.

SAVELLA. Rzecz dziwna!  
Ślady tu gwałtu wyraźne. Znalazłem  
Zwłoki starego w księżycowym świetle:  
Tuż pod oknami pokoju wisiały  
W gałęziach jodły; nie podobno wszakże,  
Ażeby spadły, wszystkie bowiem członki  
Leżały zwiśle, bezsilne; choć, prawda!  
Krwi tam nie było. Zechciejcie, mój panie —  
Dla dobra domu waszego potrzeba  
Aby dokładnie wyjaśniono wszystko —  
Powiedzieć paniom, że ja życzę sobie  
Ich obecności.

(BERNARDO wychodzi. — Wchodzą strażę, prowadząc MARZIA).

STRAZNIK. Prowadzim jednego.

PORUCZNIK. Łotraśmy tego znaleźli wraz z drugim,  
Gdy się skradali naokoło skały.  
Niema wątplenia, panie, że ci właśnie  
Zamordowali hrabięgo. Pieniędzy  
Każdy miał kiesę. A ten łotr miał z sobą  
Kosztowną suknię, przetykaną złotem —  
Ta między skały czarnemi w księżycu  
Pobłyskująca, zdradziła ich ślady.  
Ten drugi zginął w rozpaczliwej walce.

SAVELLA. I cóż wygadał?

PORUCZNIK. Milczy uporczywie;  
Ale niech list ten, znaleziony przy nim,  
Mówi za niego.

SAVELLA. Przynajmniej te słowa  
Będą otwarte. (Czyta). „Do Panny Beatrice.  
Ażebyś była za to pomszczoną, co mój duch zaledwie śmie  
przypuścić, posyłam ci na życzenie brata tych dwóch, któ-  
rzy ci więcej powiedzą i więcej zrobią, aniżeli ja mam  
odwagę napisać. Oddany tobie sługa Orsino“.  
(Wchodzą LUCREZIA, BEATRICE i BERNARDO).

SAVELLA (do BEATRICE). Czy znacie to pismo?

BEATRICE. Nie!

SAVELLA. A wy, pani?

LUCREZIA (zachowanie jej w ciągu całej sceny dowodzi największego  
niepokoju) Gdzież to znaleziono?  
Cóż to jest? Ręka to niby Orsina?  
List opowiada o tej strasznej grozie,  
Dla której nie ma wyrazu: o grozie,  
Która stworzyła czarną nienawiści  
Przepaść pomiędzy tem nieszczęsnem dzieckiem,  
A między ojcem.

SAVELLA. Tak to jest? Czy prawda,  
Pani! że ojciec uczynił wam krzywdę,  
Co w was nienawiść wznieciła wyrodną?

BEATRICE. To nie nienawiść; więcej niż nienawiść:  
Wielka to prawda, lecz skąd te pytania?

SAVELLA. Coś się tu stało, co żąda tych pytań;  
Masz tajemnicę, której nie chcesz zdradzić.

BEATRICE. Co wy mówicie? Pani! wasze słowa  
Śmiałe i prędkie.

SAVELLA. Aresztuję wszystkich  
W imię Papieża Świątobliwej Mości.  
Do Rzymu z nami.

LUCREZIA. O nie! nie do Rzymu!  
Zaprawdę! my tu nie jesteśmy winne.

BEATRICE. Winne? Któż śmiałyby mówić tu o winie?

Panie! mniej jestem winną ojcobójstwa,  
Niżli to dziecko, które na świat przyszło  
Bez ojca! Matko, ta łagodność twoja  
I twa cierpliwość nie obronią ciebie  
Przed świata sądem surowym — przed światem,  
Tem obosiecznym kłamstwem, co się zdaje,  
Nie jest. Czyż prawa ludzkie — czyż wy raczej,  
Wy, coście praw tych sługami, pragniecie  
Nasamprzód odciąć wszelką drogę pomsty?  
Potem, gdy niebo wkroczy w to, co wyście  
Wskroś zaniedbali — gdy, zwykłe narzędzie  
Biorąc w posługę, pomści straszną zbrodnię,  
Chcecież ofiary, które wyprosiły  
Zemstę tych niebios, uczynić winnemi?  
To wyście winni! Ten biedak, co stoi  
Przed wami błady, drżący, pomieszany,  
Choćby naprawdę zamordował hrabię,  
Był tylko mieczem w tej prawicy Boga  
Sprawiedliwego. Przecz jabym go miała  
Podnieść, gdy zbrodni, których język ludzki  
Nie śmiałyby nazwać, sam Bóg się nie wahał  
Pomścić?

SAVELLA. Wy zatem przyznajecie sama,  
Że jego śmierci życzyliście sobie?

BEATRICE. Pewno nie większą byłoby to zbrodnią

Od jego zbrodni, gdyby choć na chwilę  
W sercu mem zgasła ta żądza gorąca!  
Prawda! wierzyłam, żywiłam nadzieję;  
Błagałam o to — i zawsze wiedziałam —  
Bo Pan Bóg mądry jest i sprawiedliwy —,  
Ze śmierć zawisła, nad nim niespodziana  
Gwałtowna. Prawdą, że to dziś się stało,  
Lecz większą prawdą, że dla mnie innego  
Już na tej ziemi nie było spokoju,  
Ni innej w niebie nadziei — lecz cóż to?

SAVELLA. Niezwykłe myśli płodzą też niezwykłe  
Czyny; a widzę tu jedno i drugie.  
Ja was nie sędzę.

BEATRICE. Jednak wy, mnie więżąc,  
Jesteście sędzią i spełniacie wyrok  
Nad tem, co życia jest życiem. Już tchnienie  
Oskarżeń imię zabija niewinne,  
Uniewinnionym zostawiając tylko  
To nędzne życie, co maską jest życia  
Bez niego. Fałszem największym, zaprawdę!  
Żem ohydneho winna ojcobójstwa,  
Choć czuję rozkosz — a słuszny mam powód —,  
Że inne ręce wysłały tam duszę  
Mojego ojca — tam, gdzie dziś jej żebrac  
Litości, której nie miała tu dla mnie.  
Puśćcie nas wolno i domu zacnego

Nie chcecie kłaść płonem podejrzeniem  
Ohydnej zbrodni; do naszych boleści  
I do tej waszej niedbałości większych  
Nie dodawajcie ciężarów; dość tego.  
Zostawcie nam te okruchy.

SAVELLA. O pani!  
Ja się nie ważę. Proszę was, do Rzymu  
Racście się zabrać; tam papież zarządzi  
Wedle swej woli.

LUCREZIA. O nie! nie do Rzymu!  
Tu nas zostawcie! nie bierzcie do Rzymu!

BEATRICE. Przecz nie do Rzymu? Tu, lub tam, niewinność  
Nasza żelazną pogruchoce stopą  
To oskarżenie. Bóg jest tam i tutaj  
I cieniem swoim osłania niewinnych,  
Zelżonych, słabych: a myśmy niewinne.  
Odwagi, pani! oprzyjcie się o mnie.  
Zbierzcie rozpierzchłe swe myśli. Mój panie,  
Skoro tu u nas odetchniecie trochę  
I skoro wszystko zbadacie dokładnie,  
Co wam się będzie wydawać potrzebnem  
Do zupełnego zrozumienia sprawy,  
Będziem gotowe. Matko, czy idziecie?

LUCREZIA. Ha! na tortury nas dadzą; wyciskać

Z naszej boleści będą oskarżenia!  
I Giacomo tam będzie? Orsino?  
Marzio? Ci wszyscy; wszyscy, oko w oko;  
Jeden w drugiego będzie śledził twarzy  
To, co w każdego jest sercu! O strasznie!  
(Omdlewa. Wynoszą ją).

SAVELLA. Omdleła; złe to są znaki.

BEATRICE. Mój panie!  
Snać jeszcze nie zna obyczajów świata;  
Snać się obawia, że władza to potwór,  
Co, pochwywszy, już więcej nie puszcza;  
Że to jest żmija, której wzrok zamienia  
Wszystko we winę, będącą jej strawą.  
Ona śnać nie wie, jak dobrze leniwi  
Ślepej potęgi służalce umieją  
Wyczytać prawdę z niewinnego czoła —  
Ona nie widzi jeszcze, jak niewinność,  
Stojąc przed sądem śmiertelnego człeka,  
Odnosi tryumf i sama jest sędzią,  
Oskarżycielem za tę ciężką krzywdę,  
Która ją tu aż przywiodła. — Mój Panie,  
Idźcie się zebrać, idźcie; nasza świta  
Spotka się z wami, tam, na tym dziedzińcu,

## AKT PIĄTY.

### SCENA I.

Pokój w pałacu ORSINA. — Wchodzą ORSINO i GIACOMO.

GIACOMO. Więc tak to rychły jest występków koniec?

Przez płonna skrucha, biczująca zbrodnie  
Po ich spełnieniu, nie podniosła również  
Głośnych okrzyków napomnień, tak głośnych  
Ach! jak śmiertelnem jest żądło jej zemsty?  
Przez ta godzina, zawitawszy ku nam,  
Tajemniczego nie zrzuciła płaszcza,  
Aby w tym strasznym pokazać się kształcie,  
W jakim dziś wraca, wylęklą zwierzyne,  
Tę zdobycz swoją, podszczuwając oto  
Psami sumienia? O biada mi! biada!  
Co za myśl podła, co za czyn bezbożny,  
Zabić siwego, zgrzybiałego ojca!

ORSINO. Zbyt nieszczęśliwie się stało, zaprawdę!

GIACOMO. O! tak zbeczcześcić święte snu podwoje,

Ubiedz naturę o tę śmierć łagodną,  
Którą gotuje pochylonym latom;  
Wydrzeć niebiosom duszę niekajaną,  
Mogącą zgasić skruszonymi prośby  
Ten potok zbrodni palących —

ORSINO. Powiedzieć

Wy nie możecie, abym ja do tego  
Popchnął was czynu.

GIACOMO. Bodajbym był nigdy

Nie znalazł w waszem wygładzonym licu  
Zwierciadła własnych najczarniejszych myśli!  
Bodajście byli przenigdy mym oczom  
Nie przywodzili swem rozpytywaniem  
I swymi znaki widma mych zamiarów,  
Aż spowszedniało pragnienie —

ORSINO. Rzecz zwykła,

Ze ludzie zarzut nieudanych czynów  
Na swych zamysłów zwalają spółniki;  
Na wszystko inne tylko nie na własną  
Słabość i winę. A jednak, przyznajcie,  
Niebezpieczeństwo, co wisi nad wami,  
Nadało wam tę bladą zwiędłość skruchy.





ORSINO. O dzień zapóźno przychodzi życzenie.

Spieszcie! żegnajcie! Czyliż nie słyszycie  
Kroków w krużganku? (GIACOMO odchodzi).

Żal mi go, naprawdę.

Lecz u drzwi jego czekają już strażę;  
Taki był plan mój, by się wszystkich pozbyć —

I ich i jego. Pragnąłem wspaniałą

Na malowanych deskach tego świata

Zagrać komedję i cel swój osiągnąć

Przez jakąś przedzę z złego i dobrego,

Któraby inni mi sprzedli; wtem tajna

Jakaś potęga wyrywa mi nici

Moich zamysłów i w tkankę zniszczenia

Wraz je przerabia. Ha moje-ż to imię

Ktoś wywołuje tam na dworze? Owszem!

Lecz ja im umknę w żebraczem przebraniu;

Łachman na plecach, niewinność na twarzy;

Niepoznany umknę wśród tłuszczy, sądzącej

Według pozorów. Potem łatwo będzie

Na nowe imię i na ziemię nową,

Na nowe życie, wzniesione na starych

Pragnień zwaliskach zamienić honory

Opuszczonego Rzymu; lecz to będzie

Jedynie maską mego wnętrza, które

Już się przenigdy nie zmieni. O! strach mi,

Ze cała przeszłość spokoju mi nie da.

Cóż? gdy nikt inny nie świadom mych zbrodni,

Prócz mnie samego, miałbym ja odczuwać

Pogardę serca własnego? Czyż nie mam  
Siły, by uciec przed własnym sumieniem?

Miałbym być sługą — czego? tylko słowa,

Którego świat ten używa jedynie

Przeciwko innym, nigdy przeciw sobie,

Jak nikt nie nosi sztyletu, by zranić

Samego siebie? Przecież, jeśli w błędzie,

Jakaż mnie maska zakryje przedemną

Samym, jak dziś się kryję przed innymi? (wychodzi).

## SCENA II.

Sala sądowa.

CAMILLO, SĘDZIOWIE etc. na krzesłach. Wprowadzają MARZIA.

PIERWSZY SĘDZIA.

Cóż? oskarżony! trwacie w kłamstwie swoim?

Pytam, jesteście winni, czy niewinni?

Pytam, kto zbrodni waszej uczestnikiem?

Mówcie mi prawdę — i to całą prawdę.

MARZIO. O Boże! jam go nie zabił; nic nie wiem.

Olimpio sprzedał mi płaszcz ten, z którego

Wnosicie całą mą winę.

DRUGI SĘDZIA.

Hej! precz z nim!

PIERWSZY SĘDZIA. Więc macie śmiałość kłamać usta temi,

Co jeszcze białe od całunku tortur?  
Czyż tak łagodnie badają tortury,  
Że igrać z nimi chcecie, jak z kochanką,  
Aż tu wam życie wyduszą wraz z duchem?  
Precz z nim!

MARZIO. Litości! litości! ja wyznam.

PIERWSZY SĘDZIA. Mówcie.

MARZIO. Śpiącemu udusił.

PIERWSZY SĘDZIA. A któż was  
Popchnął do tego?

MARZIO. Własny syn, Giacomo,  
I młody prałat Orsino wysłali  
Mnie do Petrelli; tam panie Lukrecya  
I Beatrycze skusiły mnie złotych  
Koron tysiącem i ja z towarzyszem  
Zamordowałem hrabiego. A teraz  
Dajcie mi umrzeć.

PIERWSZY SĘDZIA. Żle to brzmi — snać prawda!  
Straże! wprowadźcie tutaj uwięzionych.  
(Wchodzą LUCREZIA, BEATRICE i GIACOMO pod strażą).  
Patrzcie na tego człowieka! Ostatni  
Kiedyście raz go widzieli?

BEATRICE. Przenigdy!

MARZIO. Zbyt wy mnie znacie, panno Beatrycze!

BEATRICE. Ja — i znać ciebie? co? a gdzie? a kiedy?

MARZIO. Wszak wy mnie groźbą i złotem skusili,  
Ażebym ojca wam zabił; gdym spełnił,  
Zarzuciliście mi suknię złocistą,  
Życząc mi szczęścia; jakem dziś szczęśliwy,  
Oto widzicie. Panie Giacomo  
I wy, o panie Lukrecyo, wy wiecie,  
Że to, co mówię, jest prawdą.  
(BEATRICE kroczy ku niemu, MARZIO twarz zakrywa i cofa się  
przerażony).

O! zwróćcie

Tę zapalczywość straszliwą jej oczu  
Ku ciemnej ziemi; zwróćcie precz odemnie —  
Ranią mnie! Prawdę wycisnęły z serca  
Straszne katusze. Panowie, rozkażcie —  
Niech po tych słowach na śmierć mnie prowadzą.

BEATRICE. Ty nędzny chłystku! żal mi cię: lecz zostań  
Jeszcze na chwilę.

CAMILLO. Zostawić go, strażę!

BEATRICE. O kardynale Camillo! mądrości  
I obyczajów łagodnych, wy sławę

Macie u ludzi: jakżeż wy możecie  
Własną osobą popierać igraszkę,  
Jak ta, haniebną? Podłego służalca  
Sprowadzać dotąd z pomocą męczarni,  
Coby wstrząsnęły najsilniejszym sercem;  
Mówić mu kazać nie tak, jak sam wierzy,  
Lecz według życzeń i podejrzeń sędziów,  
Których pytanie jest już odpowiedzią —  
I to pod grozą straszliwych katuszy,  
Jakiemi Pan Bóg nie karze — przeklętych!  
O kardynale! mówcie według serca:  
Gdyby, wkręciwszy wasze członki w koło,  
Tak do was miano przemówić: „wyznajcie,  
Żeście otruli siostrzeńca, tę małą,  
Niebieskooką dziecinę, co gwiazdą  
Była waszego żywota“; i choćby  
Wszyscy wiedzieli, że się od tej rychłej,  
Żałosnej śmierci dzień i noc zmienili —  
Że się zmienili wam niebo i ziemia,  
Czas, wasze czyny i wasze nadzieje  
Wskutek nadmiernej zgryzoty, wy jednak  
Byście odrzekli: „Tak, wszystko wyznaję“,  
I jak ten sługa żebrali u katów  
Swoich zbawienia w tej śmierci haniebnej! — — —  
O kardynale, błagam was, potwierdźcie,  
Żem jest niewinną.

CAMILLO (mocno wzruszony). Cóż myśleć, panowie?

O hańba łzom tym! Sądziłem, że serce  
W ostatnich głębiach zamarzło. Swą całą  
Oddałbym duszę, że niema w niej winy.

SĘDZIA.

Wziąć na tortury!

CAMILLO.

Własnego siostrzeńca

Chciałbym tak samo widzieć na torturach —  
Ten samby wiek miał, gdyby żyw był dzisiaj;  
I kolor włosów ten sam i źrenice  
Co do swych kształtów te same, lecz modre  
I mniej głębokie — jak miłości Bożej  
Ten najpełniejszy z obrazów, co zeszyły,  
By cierpieć na tym padole. Zaprawdę!  
Ona niewinna, jak niemowlę.

SĘDZIA.

Dobrze!

Na waszą głowę spadnie jej niewinność,  
Jeżeli, panie, zabraniecie tortur.  
Wszak nam przykazał Jego Świątobliwość,  
Ażeby prawa najsurowszą miarą  
Mierzyć tę zbrodnię potworną; tak, nawet  
Przekroczyć kazał wyroków granicę!  
Mamy przed sobą więźniów, obwinionych  
O ojcobójstwo i to pod świadectwem,  
Które tortury wręcz usprawiedliwia.

BEATRICE. Czyjem świadectwem? Tego tu?

SĘDZIA.

A jakże.

BEATRICE (do Marzia).

Zbliż się. A ktoś ty, którego wybrano  
Z tłumu żyjących, ażeby zabijał  
Niewinność?

MARZIO. Marzio, dawny lennik ojca.

BEATRICE. Zwróć swoje oczy w moje; odpowiadaj,

Tak, jak się pytam (zwracając się do sędziów).

Proszę was, zważajcie

Na jego rysy; mniej czelny, niż potwarz,  
Co patrzeć umie, chociaż nie śmie mówić,  
On nie śmie patrzeć, chociaż mówić umie,  
Wzrok swój ku ziemi zwraca niewidomej.

(Do MARZIA). Co? i ty twierdzisz, że zabija ojca?

MARZIO. O miejcie litość; mózg mi się zawraca —

Nie umiem mówić — Męki wycisnęły  
Straszną mi prawdę. Precz mnie stąd zabierzcie!  
Nie pozwalajcie jej tak patrzeć we mnie.  
Ja łotr ten winny! ja ten łotr nikczemny!  
Wyznałem wszystko, com wiedział. Niech umrę!

BEATRICE. Gdybym z natury miała być tak twardą,

Aby wymyśleć, panowie, tę zbrodnię,  
O którą tego posądzacie sługę,

A którą z niego wycisnęły męki,  
Czyż wy myślicie, żebym zostawiła  
To obosieczne narzędzie mej zbrodni,  
Tego człowieka i ten nóż skrwawiony,  
Co moje imię ma na rękajeści  
I leży nagi tu, wśród wrogów świata,  
Dla mojej śmierci? Iżbym pominęła,  
Gdy najgłębszego potrzeba milczenia,  
Nic nie znaczącą ostrożność, by stróżem  
Tej tajemnicy uczynić grób tego,  
Któryby umiał ją wykraść? Cóż znaczy  
To jego życie nikczemne? Cóż znaczą  
Tysiączne życia? Jak proch ojcobójca  
Byłby je zdeptał; a patrzcie! ten żyje!...

(Zwracając się do Marzia).

A ty —

MARZIO. Litości! Nie mówcie nic więcej!

Ten wzrok surowy, lecz pełen litości,  
Ten ton poważny — one więcej męczą,  
Niż te tortury. (Do sędziów: Wyznałem wam wszystko!  
Miejcie już litość; na śmierć mnie prowadźcie...

CAMILLO. Zbliźcie go, strażę, ku pannie Beatryks.

Drży przed jej wzrokiem, jak ten liść jesienny  
Przed ostrem tchnieniem północnego wiatru.

BEATRICE. Ty, co drżysz dzisiaj na stromej krawędzi

Zycia i śmierci, która w obłąd wprawia,  
Namysł się jeszcze, nim mi dasz odpowiedź,  
Potem przed Bogiem z mniejszym stawaj strachem.  
Co myśmy tobie zrobili? Niestety!  
Zbyt mało lat ja żyłam na tym świecie  
I tak się moje ułożyły losy,  
Że budzącego się żywota chwile  
Ojciec mi pierwszy przemieniał na krople,  
Trujące błogą nadzieję młodości,  
Potem mą duszę jednym przeszył cięciem  
I moją wszystką nieskałaną sławę  
I nawet spokój przeszył, który drzemie  
W najserdeczniejszych głębokościach serca.  
Ale ta rana nie była śmiertelną:  
I tak nienawiść stała się jedyną  
Moją modlitwą, którą zasyłałam  
Wielkiemu Ojcu, co w swej litościwej  
Miłości ciebie, jak mówisz, uzbroił,  
Aby go zabić. I tak jego wina  
Mojem się stała dzisiaj oskarżeniem.  
I ty chcesz zostać mym oskarżycielem?  
Jeżeli pragniesz litości w niebiesiech,  
To sprawiedliwy bądź tu na tej ziemi.  
Od ręki krwawej gorsze twarde serce.  
Kiedyś mordował, kiedy życiem całem  
Deptałeś prawa Boga i człowieka,  
Nie idź przed Sędzią i nie mów: „Mój Stwórco,  
Jam to popełnił i więcej: gdy jedna

Z wszystkich najczystsza i najniewinniejsza  
Była na ziemi, ponieważ znosiła  
Więcej, niż inna, z winą lub bez winy,  
Zniosła gdykolwiek; ponieważ dla krzywd jej  
Niema ni słowa ani myśli ludzkiej;  
Ponieważ dłoń twa wyrwała ją wreszcie,  
Przetom ją zabił swem słowem wraz z tymi,  
Którzy jej krwi są. Pomyśl, co to znaczy  
Zabić cześć, którą żywimy dla sławy  
Niepokalanej i starego domu —  
Pomyśl, co znaczy zdusić dziecię — litość,  
Ukołysane wiarą w wzrok niewinny,  
Aż boleść w zbrodnię się zmieni. O pomyśl,  
Co znaczy splamieć krwią i hańbą wszystko,  
Co się wydaje niewinnem i — Boże!  
Ty mnie wysłuchaj! — przysięgam, przysięgam,  
Że jest niewinnem; tak, że świat już traci  
Wszystką różnicę między chytrem, czelnem  
Okiem występku a tem, co ci teraz  
Na me pytanie odpowiedzieć każe.  
Mów, czym jest winną, czy nie, ojcobójstwa?

MARZIO. Tyś jest niewinną.

SĘDZIA. Cóż to jest?

MARZIO. Oświadczam,  
Że oskarżona przezemnie niewinna!  
Sam jestem winien.

SĘDZIA. Precz z nim na tortury!

A niech katusze będą wyszukane;  
Niech będą długie, dopóki mu ściany  
Najskrytszej serca komórki nie zerwą!  
Nie odwiązujcie go prędzej, aż wyzna.

MARZIO. Męczcie, jak chcecie; mem ostatniem tchnieniem

Wyższą już prawdę wyrwała ostrzejsza  
Boleść. Tak, ona zupełnie niewinna!  
Wy psy krwiożercze! do syta nachłępcie  
Tu krwi się mojej. Nie chcę, by to piękne  
Dzieło natury poszło na zagładę.

(MARZIO wychodzi pod strażą)

CAMILLO. I cóż wy na to, panowie?

SĘDZIA. Tortury

Niechaj wycisną prawdę, aż zbieleje  
Jak śnieg, trzykrotnie mroźnym przesian wiatrem.

CAMILLO. Lecz niechaj przytem krwią się zaczerwieni.

SĘDZIA (do Beatryczy). Znacie ten papier?

BEATRICE. Nie chwytaj mnie, panie,

W potrzask zapytań. Któż jest tutaj moim  
Oskarżycielem? Ha! czy ty nim jesteś,  
Coś jest mym sędzią? Oskarżyciel, świadek,

Sędzia — co? wszystko tak razem? Orsina  
Tu oto imię; gdzież jest ten Orsino?  
Przywieźcie oczom go moim. Cóż znaczy  
Owo piśmiǳło? Ach! i wy nie wiecie!  
Chcecie-ż nas zabić, posądzając tylko,  
Że w tem coś złego? (Wchodzi porucznik)

PORUCZNIK. Marzio już nie żyje.

SĘDZIA. I cóż powiedział?

PORUCZNIK. Nic. Wkręcony w koło,  
Nic nie powiedział, tylko tak się zaśmiał,  
Jak człek, szydzący z śmiertelnego wroga,  
I, dech wstrzymawszy, skończył.

SĘDZIA. Nic innego

Nie pozostaje, jak wybadać więźniów,  
Trwających w swoim uporze.

CAMILLO. Wy kroków

Dalszych nie czyńcie — zakazuję tego —  
A za niewinne szlachetne osoby  
Wstawię się dzisiaj u Świętego Ojca.

SĘDZIA. Niechaj tu Papież rozstrzyga. Tymczasem

Do cel osobnych prowadźcie zbrodniarzy.  
A zasię miejcie tortury pod ręką:

Tej bowiem nocy, gdy wyrok Papieża  
Będzie rozważny, jak dawniej, i święty  
I sprawiedliwy, jak dawniej — ja prawdę  
Z tych żył, z tych nerwów wycisnę męczarnią. (Wychodzą).

### SCENA III.

Cela więzienna. — BEATRICE na łóżku, śpi. — Wchodzi BERNARDO.

BERNARDO. Co za sen błogi spoczął na jej licu,  
Jak myśl ostatnia pogodnego dzionka,  
Żyjąca dalej wśród nocy i marzeń.  
Po tylu nocy ubiegłej katuszach  
Jakiż to lekki i spokojny oddech!  
Biada! mnie pewno nie zasnąć już więcej!  
Jednak ja muszę strząsnąć tę niebieską  
Rosę spokoju z otwartego kwiatu;  
Tak, zbudź się, zbudź się! siostrze, jak ty jeszcze  
Możesz spać tutaj!

BEATRICE (budzi się). Co dopiero śniłam,  
Iżemy wszyscy byli w raju. Odkąd  
Niema już ojca, ty wiesz, że ta cela  
Jest niby rajem.

BERNARDO. Siostrze! droga siostrze!  
Oby ów sen twój nie był snem! O Boże!  
Jak ja ci mam to powiedzieć?

BEATRICE. Cóż chciałeś,  
Luby mój bracie, powiedzieć?

BERNARDO. Nie patrzaj  
Z takim spokojem i szczęściem, bo we mnie,  
Kiedy rozważę, co ci mam powiedzieć,  
Serce się kraje.

BEATRICE. Ty mi łzy wyciskasz.  
Jak opuszczonem będziesz, drogie dziecko,  
Kiedy ja umrę! Mów, co chcesz powiedzieć?

BERNARDO. Wszystko wyznali; nie mogli znieść męki.

BEATRICE. Ha! cóż tam było do wyznania? Podłe,  
Nikczemne kłamstwo musieli powiedzieć,  
Ażebym schlebić swym katom. Czyż rzekli,  
Że oni winni? Biała niewinności,  
Że też ty musisz chować w maskę winy  
Swoje szlachetne i pogodne lice  
Przed tymi, co cię nie znają!

(Wchodzi SĘDZIA oraz LUKREZIA i GIACOMO pod strażą).

O słabe  
Serca! Za moment tych bolesnych dreszczów,  
Co chyba tak są śmiertelne, jak członki,  
Które wszak giną, zdeptano stuleci  
Chwałę i wielkość! Ową wieczną świetność,

Co miała błyszczyć, jak słońce, nad dymem  
Tej ziemskiej sławy, zmieniono w szyderstwo  
I na przezwisko? Co? wy pozwolicie,  
By wasze ciała, wlokąc się u kopyt  
Kościńskich, zmiatały ślad bezmyślnej tłuszczy,  
Co chcąc z naszego nieszczęścia urządzić  
I nabożeństwa i igrzyska chwilę,  
Rzuci kościoły i cyrki, tak puste,  
Jako jej serca? Czyż ta próżna zgraja  
Ma, podług swego widzimi się, kląć  
Lub zbladła rzucić litością, jak kwiaty  
Pogrzebowymi, na nasz trup żyjący,  
Kiedy uchodzimy, by już ujść na wieki  
I pozostawić — jakąż pamięć bytu? —  
Strach, krew i hańbę i rozpacz! ty matko,  
— Byłaś nią zawsze dla nas biednych sierot —  
O nie zabijaj swojego dziecięcia!  
Niech cię i moja nie zabija boleść.  
Bracie! tu przy mnie kładź się na tortury,  
Bądźmy oboje milczący, jak zwłoki;  
Wszak tu nam będzie tak miękko, jak w grobie.  
Kłamstwo jedynie, które wyciskają  
Wargom bojaźni, zamienia tortury  
W krwawe narzędzie.

GIACOMO. Nie długo i tobie  
Wycisną prawdę te męki straszliwe;  
Zlituj się sama nad sobą i wyznaj!

LUCREZIA. O, powiedz prawdę! Umrzyjmy coprędzej!  
Bóg naszym sędzią po śmierci — nie oni,  
On będzie dla nas litośny.

BERNARDO. Zaiste!  
Jeśli to prawda, wyznaj, droga siostrze,  
A wtedy Papież napewno — przebaczy,  
I wszystko dobrze się stanie.

SĘDZIA. Wyznajcie,  
Inaczej każe wam kości poskręcać  
Wśród takich tortur —

BEATRICE. Tortur! o zamieńcie  
W wieczny kołowrót te wasze tortury!  
Męczcie waszego psa, aż wam nie powie,  
Kiedy to chleptał krew ostatnim razem —  
Krew, którą przelał jego pan — lecz nie mnie!  
Boleść ma w wnętrzu; moja boleść w sercu,  
Boleść ma w duszy, w jej najgłębszej głębi —  
W duszy, co płacze łzami gorzkiej żółci,  
Widząc, jak w świetle, gdzie nikt nie jest prawym,  
Krew ma jest fałszem wobec siebie samej.  
Patrząc na cały ten żywot przynędny,  
Którym ja żyłam, i na nędzny koniec  
I na tę nędzną sprawiedliwość, jaką  
Niebo i ziemia wymierzają tutaj  
Mnie i tym moim; i jakim ty jesteś



Nędznym oprawcą i ci tu jakimi  
Są służalcami i jaki to tworzą  
Świat ciemności i ciemności! —  
Taką to boleść wyciska dziś ze mnie  
Odpowiedź dla was. Cóż ty chcesz odemnie?

SEŃDZIA. Zali nie jesteś winną śmierci ojca?

BEATRICE. Oskarż ty raczej najwyższego sędzię,  
Że mógł pozwolić na tak straszną zbrodnię,  
Którą znosiłam, na którą On patrzył,  
I że słów nie dał, ażeby ją nazwać,  
I że za całą zostawił ucieczkę,  
Za całą zemstę i za skutek cały  
To, co wy śmiercią nazywacie ojca?  
Czy jest lub nie jest tem, co zbrodnią zwiecie,  
Czy ją spełniałam lub czy nie spełniałam,  
Niech, jak chce, będzie — przeczyć już nie myślę;  
Gdy tak pragniecie — niechże i tak będzie.  
A z tem i koniec wszystkiego. A teraz  
Czyńcie swą wolę; ze mnie żadna inna  
Nie wyrwie boleść innego już słowa.

SEŃDZIA. Winna jest czynu, choć się nie przyznaje,  
To nam wystarczy. Pokąd nie zapadnie  
Wyrok ostatni, nie obcujcie z nimi.  
A i wam, młody mój panie, nie wolno  
Dłużej tu zostać.

BEATRICE. O! wy go odemnie  
Nie odrywajcie!

SEŃDZIA (do straży). Czyńcie swą powinność.

BERNARDO. Czy chcecie ciało oddzielić od duszy?

PORUCZNIK. To rzecz jest kata.

(Wychodzą wszyscy. Zostają LUCREZIA, BEATRICE i GIACOMO).

GIACOMO. Czy ja się przyznałem?

Niema nadziei? ucieczki? Przeklęty,  
Podły języku, coś mnie zgubił, lepiej  
Było cię wyrwać, rzucić psom na pastwę!  
Wprzód zabić ojca, potem siostrę wydać —  
Ach! ja — na świecie zbrodnictwem i brudnym  
Jedyną duszę niewinną i czystą —  
Wydać ją na to, na com ja zasłużył!  
A moja żona! moje dzieci drobne...  
Wskrós opuszczone! bez pomocy żadnej!...  
A ja!... Ty Ojczel Boże! Czy ty dzisiaj  
Przebaczysz temu, który nie przebaczył,  
Choć jego serce tak się kraje — kraje? —

(Zakrywa twarz i płacze).

LUCREZIA. O drogie dziecko! co za straszny koniec  
Spotkał nas wszystkich! Dlaczegoż uległam?  
Czemuż nie zniosłam katuszy? O, czemu

Nie rozplynęłam się cała w bezpłodnych  
Łzach, które płyną daremnie!

BEATRICE.

Co było

Słabością czynić, większą jest słabością  
Żałować tego, kiedy już spełnione —  
Odwagi trzeba! Bóg, co zna mą krzywdę,  
Co czyn nasz wczesny przemienił w anioła  
Swojego gniewu, ten Bóg — tak się zdaje —  
Ale się tylko zdaje — już nas dzisiaj  
Opuścił wszystkich. Atoli nie sądzmy,  
Że umieramy dziś za zbrodnię! Bracie,  
Przybliź się do mnie; podaj rękę twardą;  
Mężne tyś serce posiadał; do góry!  
Do góry czoło! O pani najdroższa,  
Złóż mi swą głowę na łonie i zaśnij:  
Oczy twe zbladłe, zapadłe i błędne,  
Ciężkie z czuwania i długiej zgryzoty!  
Chodź! ja ci do snu zanucę piosenkę,  
Starą i zwykłą, jednostajną piosnkę,  
Którą wieśniaczki nasze nuca sobie  
Przy kołowrotku, że aż przy tej pieśni  
Zapominają, że żyją. Połóż się!  
Tak! zaraz zacznę: Czyż tych słów nie pomnę?  
Ha!... są smutniejsze, niżlim pomyślała —

„Cóż mi twój uśmiech i łez twych zdroj,  
Gdy sen padł dziwny na żywot mój!

Cóż mi twój uśmiech i łzy twe cóż,  
Gdy zimne ciało snąc w trumnie już?

O bądź, fałszywy, zdrów!

Co znaczy szelest ów?

Waż w twym uśmiechu, mój drogi ty,  
Gorzką trucizną są twoje łzy!

\* \* \*

Gdyby śmierć miała twą słodycz, śnie,  
Lub gdybyś w śmierć się ty zmienił mnie,  
Zamkłabym oczy bolesne wraz,  
By się nie zbudzić — na wieczny czas.

O świecie! żegnaj mi!

Słuchaj jak dzwon tam brzmi!...

„Ty i on idźcie“ tak mówi tu,

„Czy sercu lekko, czy ciężko mu!“...

#### SCENA IV.

Sala więzienna. — Wchodzi CAMILLO i BERNARDO,

CAMILLO. Papież niezgięty: nie złamiesz papieża;  
Był tak spokojny, jak tortur narzędzie,  
Które katuje i które zabija,  
Nie czując wespół z tymi, których dręczy.  
Głaz, prawo, zakon, zwyczaj — a nie człowiek.

Czoło namarszczył, jakby mu sprężyna  
Jego maszyny zmarszczyć się kazała. —  
Gdy mu rzecznicy przedłożą obronę,  
Zgniół ją i podarł i rzucił za siebie,  
Mruczając surowym i ochrypłym głosem:  
Któżby z was bronił ojca, zabitego  
We śnie? Powiedźcie! Potem rzekł innemu:  
„Ty mocą swego urzędu: to dobrze.“  
A potem ku mnie, com o litość błagał,  
Skierował zimne dwa słowa: „niech umrą“.

BERNARDO. A jednak wyście błagać nie przestali?

CAMILLO. Jam go cichemi chciał przekonać słowy  
I przekładałem, że szatańskie czyny  
Śmierć zgotowały występnemu ojcu.  
A on mi na to: Paweł Santa Croce  
Wczoraj, wieczorem, własną zabił matkę  
I potem uciekł. Wnet, a ojcobójstwa  
Do takich wzrosną rozmiarów, że młodzież —  
Ze słusznych przyczyn wątpić nie należy —  
Podławi wszystkich, gdy się zdrzemniem w krześle.  
Siła, powaga i włos pobielają  
Oto dziś zbrodnie śmiertelne. Krewniakiem  
Jesteście moim — a dla nich o łaskę  
Błagać przysłyszcie. Zostańcie na chwilę:  
Tu wyrok na nich; a nie rychlej wróćcie,  
Póki nie będzie spełnion do ostatka.“

BERNARDO. O Boże! nie tak! wierzyłem, że wszystko,  
Coście mówili, czarnym tylko wstępem  
Do jasnych nowin. Są, zaprawdę! słowa  
O, i spojrzenia, co najtwardszy zamysł  
Umią połamać. Niegdyś ja je znałem,  
Dziś niepamiętam w największej potrzebie!  
Cóż wy myślicie, jeśli sam się udam,  
Płaszcz mu i nogi łąz gorącą zleję?  
Prosbą obarczę i mózg mu wydręcę  
Ciągłemi skargi, aż mnie w swoim gniewie  
Uderzy krzyżem pasterskim i zdepcę  
Kark mój nagięty, że aż krew ma zboczy  
Ten pył bezczuły, po którym on stąpa,  
I skrucha litość w nim zbudzi. Ja pójdę!  
O, poczekajcie, aż wrócę.

CAMILLO. Niestety!  
Ty biedne dziecko! tak żeglarz-rozbitek  
Głuchemu morzu się modli.  
(Wchodzą LUKREZIA, BEATRICE i GIACOMO).

BEATRICE. Zaledwie  
Bać się ośmielał, byście inne wieści  
Przynieść nam mogli, niż słowo przebaczeń.

CAMILLO. Oby Bóg w niebie na prośby Papieża  
Mniej był kamienny, niż Papież na moje.  
Oto jest wyrok i rozkaz spełnienia.

BEATRICE (wzburzona).

O ty mój Boże! czyliż to podobne,  
Ażebym miała tak umrzeć gwałtownie,  
Zstąpić tak młodą do ciemnej i zimnej,  
Pełnej zgnilizny i gadu mogiły?  
Zamknąć na zawsze we wązkiej się trumnie;  
Nie widzieć więcej słonecznego blasku,  
Nie słyszeć więcej jasnych życia głosów,  
Nie tonąć więcej w tych powszednich myślach —  
Co, chociaż smutne, dziś tak strasznie giną!  
Nie być już niczem! albo być — i czymże?  
Ach! gdzież ja jestem? Nie daj mi oszaleć,  
Niebo najświętsze! przebacz myśl zbłąkaną!  
Gdyby nie było ni Boga ni ludzi  
Ani tej ziemi na tym pustym świecie  
Na tym bezbrzeżnym, bezbarwnym, bezwiednym —  
Na tym bezdennym i bezludnym świecie,  
Gdyby to wszystko było duchem ojca,  
Coby mnie jednej nie opuszczał chwili,  
Jego żrenicą, jego głosem, dłońią,  
Mojego życia zmarłego oddechem!  
Gdyby tu znowu zeszła jego postać,  
Postać, co tak mnie dręczyła na ziemi,  
Okryta zmarszczką i włosiem zbielonym;  
Gdyby w piekielny zamknęła mnie uścisk,  
Wpiła swe oko w me oko, strąciła  
Potem do grobu! do grobu! do grobu!  
Bo czyż on jeden nie był wszechpotężnym

I wszechobecnym na ziemi? Choć umarł,  
Czyliż duch jego w każdym tchu nie żyje,  
Czyż nie przynosi mnie i moim zguby,  
Pogardy, żalu, rozpaczy? Któż kiedy  
Wrócił, by śmierci niedostępnych królestw  
Obwieścić prawa nam ludziom, zapewne  
Niesprawiedliwe, jak ci, co nas pchają  
Ach! dokąd? dokąd?

LUCREZIA. Ufaj w miłość Boga  
I w słowo świętych przyrzeczeń Chrystusa:  
Nim noc zapadnie, my w raju.

BEATRICE. Minęło!...  
Niech co chce przyjdzie, serce me nie zadrży.  
Jednak, ja nie wiem, dlaczego mnie lodem  
Słowa twe rażą. O jak mi się wszystko  
Wydaje zimnem, fałszywem i wstrętnem!  
Niesprawiedliwym wciąż był świat ten dla mnie,  
I, bez różnicy bogowie czy ludzie,  
Lub jakakolwiek moc, dzierżąca w ręku  
Straszne me losy — wszędy i bezwzględnie  
Złem mnie darzyli lub dobrem. I dzisiaj  
Od jedynego znanego mi świata  
Jam oderwana — od światła i życia  
I od miłości, w moich lat zaraniu.  
Kaźcie mi tylko wiecznie ufać Bogu,  
Myślę, że będę ufała: bo komuż  
Mogłabym ufać? Jednak chłód mam w sercu.

(Podczas ostatnich słów rozmawiał Giacomo w głębi sali z Camillem, który odchodzi; przystępuje Giacomo).

GIACOMO. Czy nie wiesz, matko — siostró, czy nie wiecie?  
Bernardo właśnie poszedł, by wybłagać  
Łaskę Papieża.

LUCREZIA. Może on przebaczy,  
Dziecko! zostaniem przy życiu, by kiedyś  
W dalekie lata mówić o tej doli!  
Ach, co za myśl to! Bije mi do serca,  
Jak krew gorąca.

BEATRICE. Niedługo zastygną  
I myśl i serce. Daj pokój tej myśli.  
Niżeli rozpacz, niżli gorycz śmierci,  
Gorszą nadzieja: jest to zło jedyne,  
Co dosyć miejsca znajdzie w jednej chwili,  
W jednej godzinie, ciasnej, drżącej, nikłej,  
Wymykającej się nam z rąk. O raczej —  
Raczej zaklinaj lotny oddech mrozu,  
Aby oszczędził pierwsze kwiecie wiosny.  
Zaklinaj ziemi zbudzone trzęsienie,  
Gdzie wczoraj gród stał, silny, piękny, wolny,  
A dzisiaj zaduch i pomrok grobowy:  
O, głód zaklinaj i dżumę, co wiatrem  
Mknie oskrzydłona; ślepą błyskawicę  
I głuche morze zaklinaj — nie człeka!

Krwawego człeka, zimnego świętoszka,  
Co, sprawiedliwym będąc w słowach, w czynach,  
Jest jako Kain. Nie, matko, umrzemy:  
Oto zapłata za żywot niewinny,  
Oto jest słodycz za żółć najprzykrzejszą.  
A gdy żyć będą ci, co nas zabili,  
Gdy ludzie twardzi i zimni z uśmiechem  
Kroczyć tu będą po tym łożu padole  
Ku owej śmierci, jak ku snom żywota,  
Dla nas nieznaną będzie grób rozkoszą!  
Chodź, ciemna śmierci, pochwyć mnie w ramiona,  
Którą wszystko ogarniasz. Jak matka,  
Oszołomiona miłością, ukołysz mnie do snu,  
Z którego nikt się nie budzi! O żyjcie,  
Wy, co żyjecie, służalce służalców,  
Tak jak my niegdyś, a teraz —

BERNARDO (wpada). O strasznie!  
Że też spojrzenia, że łzy, że nadzieja,  
Rozlana w prośbach, aż serce z rozpaczy  
Stało się próżnią, miały być płonnemi!  
U bram już śmierci czekają zwiastuny.  
Zdawało mi się, że krew na jednego  
Widział obliczu. Oby snem to było.  
Wnet krew serdeczna tych, których kochałem,  
Jego obryzga, a on ją tak zetrze,  
Jak gdyby tylko była kroplą deszczu.  
O życie! świecie! skryjcie mnie, niech śladu

Nie będzie po mnie! Widzieć, jak strzaskano  
To niewinności przeczystej zwierciadło,  
W które ja patrząc, stawałem się dobrym  
O, i szczęśliwym! Widzieć, Beatrycze,  
Coś wszystko w piękność zmieniała swym wzrokiem —  
Widzieć cię, światło życia, zmarłą, zgasłą!  
Kiedy zawołam: siostrzo! ach usłyszeć,  
Że nie mam siostry! I ty matko moja,  
Któraś miłością swoją niby węzłem,  
Spajała miłość nas wszystkich — umarła!  
Porwany węzeł już słodki! (Wchodzi CAMILLO i STRAŻE).

Nadchodzą!

Niech ucałuję twe gorące usta,  
Pokąd nie zwiędnie, nie zblaknie, nie zziębnie  
Karmazynowe ich kwiecie. Pożegnań  
Powiedz mi słowo, pokąd łagodnego  
Śmierć nie przytłumi ci głosu! Ach! niechaj  
Usłyszę cię raz jeszcze.

BEATRICE.

O żegnaj,

Zegnaj, mój bracie! Noś zawsze wspomnienie  
Naszego losu z godnością, jak teraz,  
Staraj się ulżyć łagodną i cichą  
Myślą swęj trosce. Nie gub się w rozpacz,  
Lecz w cierpliwości i łzach. Jeszcze jedno,  
Me dziecko: wiernym dla własnego dobra  
Zostań miłości, którąś nas obdarzał;  
I owej wierze, że choć dziś mnie zakrył

Ponury obłok występku i hańby,  
Niepokalaną wciąż żyłam i czystą.  
Chociaż mnie ranić będą złe języki,  
Choć nasze imię jako piętno hańby  
Na twej niewinnej wryje się skroni,  
Tak, że przechodnie wskazywać nań będą,  
Znoś to i nie myśl o tych myślą wstrętną,  
Co cię kochają jeszcze w swych mogiłach,  
Potem umieraj, jak ja, bez boleści  
I bez bojaźni. Żegnaj! żegnaj! żegnaj!

BERNARDO. Trudno ach! wyrzec mi „żegnaj!“

CAMILLO.

O pan!...

BEATRICE. Nie oddawajcie daremnym się żalom,  
Drogi mój panie kardynale. Matko,  
Ściągnij przepaskę i w skromny mi węzeł  
Powiążaj włosy: o tak, dobrze, dobrze.  
A twoje widzę, że są rozpuszczone.  
Jak często myśmy pomagały sobie!  
Dziś to czynimy raz ostatni. Panie,  
Myśmy gotowe — dobrze, bardzo dobrze.

KONIEC.